№ 46 Warszawa, dnia 6 (18) Listopada 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

STUDYA HISTORYCZNE.

(Dokończenie).

Drugi szkic „Witołd pod Grünwaldem" niemniej jak pierwszy jest zajmujący i niezmiernie ciekawy. Owych dwóch wielkich mężów, dwóch braci stryjecznych: Jagiełło i Witołd, jakże się różnią usposobieniem. Jagiełło słaby obracający się jak chorągiewka na wszystkie strony, Witołd wytrwały, dzielny i niezwyciężony, myśli o dobru państwa, ale i o sobie nie zapomina.

Cały plan unii jest niezawodnie Witołda pomysłu a o wojnie Grünwaldzkiej nie mamy prawa inaczej utrzymywać.

Piękny i straszny obraz Matejki „Witołd pod Grünwaldem".

Ów Witołd w purpurowej szacie, z mieczem w ręku na czele rycerstwa, zaścielającego pole trupami niemieckimi, owa chwila dzielnego zwycięztwa, którą w tak świetnych barwach wystawił na swojem płótnie dzielny mistrz, otóż obraz ten wywołał ogromny ruch w świecie inteligentnym.

Pierwszy to lecz śmiertelny cios zadany Niemcom i Krzyżakom, połączoną siłą zbratanych ludów.

Ale nie o to profesorowi wszechnicy krakowskiej chodziło. Postawił on sobie pytanie: co po owej chwili stanowczej, po owem świetnem zwycięztwie mógł myśléć ów wielki Witołd?

Dla niewtajemniczonych w olbrzymią potęgę źródeł historycznych, wyda się to niemożliwem odgadnięcie myśli największego bohatera swej wielkiej epoki.

Zapewne trudna to rzecz, ale historyk taki jak Smolka, który wżył się w dzieje polityczne Polski XIV i XV wieku, posiadający wyborną metodę i logiczną intuicyą, jest w możności wskrzeszać nie tylko zmarłe postacie lecz i owczesne myśli wielkich bohaterów.

Owo olbrzymie państwo, utrzymujące się dotąd pod potężną, choć nietylko pośrednią władzą Witołda, nie nabyło jeszcze silnych i gruntownych podstaw, należało mu koniecznie poszukać trwałych, które mu dawała najbliższa Polska. Ale w tej unii dynastycznej nie grał nowy monarcha dwóch wielkich narodów pierwszorzędnej roli. Słaby i bez energii Jagiełło powodował się we wszystkiem wolą możnych polskich panów. Witołd zaś jako biegły polityk, nie mógł dopuścić, aby cała potęga z wyzyskanym dziś bojem i jej wszystkie korzyści, zlały się na przewódzców polskiego jedynie stronnictwa.

Aby więc spełnić dalsze swoje plany, Witołd potrzebował być silnym, i dlatego owe świetne zwycięztwo grünwaldzkie nie odniosło takich korzyści jakichby się spodziewać było potrzeba. Witołd sam oszczędził Krzyżaków, aby w nich miéć punkt wyjścia i pewną obronę dla siebie. Nad tą głęboką myślą niezawodnie spędził noc po zwycięztwie dzielny wódz i biegły polityk, a dalsze wypadki, szczególniej pozostawienie szeregów polskich samych sobie, przypuszczenie to zupełnie usprawiedliwiają.

Wyjątkiem, a raczej szkicem z obszerniejszej biografii, którą gotują do druku wspólnemi siłami profesor Smolka i profesor Bobrzyński, jest praca o Długoszu, gdzie autor dosyć barwnie kreśli stanowisko wielkiego historyka i polityka XV wieku, jakim był Długosz syn starege żołnierza z pod Grünwaldu.

Młody Długosz oddany do Krakowa na nauki, kształcił się przez trzy lata na wydziale filozoficznym, zkąd potem miał się przenieść na wyższe kursa teologii. Ale ojciec ożeniwszy się powtórnie nie był w możności oddania syna do szkół i wepchnął go do kancelaryi Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego, który będąc bardzo majętnym, obrócił młodego zaledwie siedmnastoletniego podówczas chłopca do spisywania ksiąg majątkowych i inwentarzy własności biskupich.

Oleśnicki był człowiekiem zamożnym i niezawodnie liczył więcej ziemi niż niejeden książę niemiecki. Przy tej administracyi młody Długosz, pracą i skrzętnością zaskarbił sobie niedługo łaski wielkiego polityka i człowieka rządzącego podówczas prawie całą Polską.

W roku też 1434 młody Długosz otrzymał wskutek rezygnacyi swojego stryja Bartłomieja bogatą parafię Kłobucką, a we dwa lata później został kanonikiem krakowskim, choć dopiero w r. 1440 przyjął święcenia kapłańskie: wkrótce potem dostała mu się nadto kantorya w kolegiacie Wiślickiej, z której szybko na kustodyą postąpił.

Dotąd jednak młody Długosz zajmujący się administracyą dóbr biskupich, nie mógł myśléć o wyższem powołaniu, brak wykształcenia usuwały go z rzędu ówczesnych humanistów, których także na dworze biskupim nie brakło. Długosz pogrążony w pracy, służył tylko swojemu dobroczyńcy, stając niejednokrotnie w obronie granic rozległych majętności Oleśnickiego. Niejeden atoli taki spór zmusił młodego administratora do poszukiwań w archiwach katedralnych, z których wydobywał odnośne i potrzebne mu dokumenta i nadania. To obudziło pierwsze zamiłowanie ku pracy historycznej, ale do niej sama administracya nie wystarczała.

Ówczesne państwo polskie wplątane w różne polityczne stosunki, zmuszało do życia politycznego, więc i dzieje polskie z instynktem politycznym musiały być traktowane. Polityki tej nauczył się od swojego mistrza młody Długosz, bo dwór jego

był mu jedyną szkołą. To też wkrótce potem kiedy stosunki Oleśnickiego z Rzymem się zachwiały, kiedy Sobor, którego wyższości nad papieżem był zwolennikiem Zbigniew, złożył z godności Eugeniusza IV-go i obrał Filipa V-go papieżem, kiedy z ofiarowanych kapeluszów kardynalskich przyjął go Oleśnicki tylko z rąk papieża Filipa, nie przewidując, że wreszcie zwycięży obóz pierwszy i owładnie dotychczasowemi stosunkami, kiedy między innymi i Zbigniew od godności kardynalskiej został usuniętym, wówczas niepewny siebie Oleśnicki wysyła do Rzymu Długosza, który, dzięki zaszłym okolicznościom, pomyślnie spełnia swoje poselstwo. Pierwsze te kroki polityczne Długosza wyrobiły mu imię i zaraz na wstępie otworzyły drogę do dalszych popisów. Spory pomiędzy Janem Hunyadym załatwił też pomyślnie to też z każdym dniem wzrastała sława Długosza, który ze swoim przewodnikiem coraz wybitniejsze zajmował stanowisko w państwie.

Już i Jagiełło przeżywszy Witolda legł w ziemi, już i Warneńczyk zmuszony złamać pokój i przysięgę zginął na południowych krańcach w walce z pogany, a jednak rządy Oleśnickiego jak dotąd żyły i olbrzymiały, tak i nadal z niesłychaną potęgą panowały w Polsce. Ale skoro na tronie zasiadł dzielny Kazimierz Jagiellończyk obdarzony silną wolą i hartem duszy, wielkorządztwo Oleśnickiego znacznie się zachwiało. Dzielny król nie mógł ścierpić obok siebie drugiego rządzcy i złamał jego potęgę. Nie odstąpił jednak i w tej ostatniej chwili od Oleśnickiego Długosz, a zespolony z nim duszą i ciałem, długo jeszcze po jego śmierci stawał w opozycyi królewskiej, aż wreszcie złamany stanowczością Kazimierza Jagiellończyka, stanął po jego stronie i zabrawszy się do pracy na polu piśmiennictwa dziejowego, jako wzór przedstawił sobie Liwiusza.

Prace Długosza są prowadzone w duchu polityki Zbigniewa Oleśnickiego i dlatego niejednokrotnie grzeszą swą tendencyjnością. Szkic o Długoszu nie pozostawia nic do życzenia.

Dosadna charakterystyka, jasność stylu i gruntowna znajomość rzeczy zbiera się razem na tę pracę wielkiej wartości.

W profesorze Smolce Długosz znalazł godnego siebie biografa i krytyka. Jestto najwybitniejsza postać swego czasu i próżnobyśmy się kusili odszukać podobnej mu w literaturze powszechnej XV wieku.

Z kolei przychodzimy do pracy bardzo ważnej dla naszej historyi do: „Unii z Czechami”.

Ów potężny ruch narodu, który początkowo objawił się w formie religijnej, a potem przeszedł w opozycyą przeciwko rozwielmożnionemu w Czechach germanizmowi, staje się jednym z ważniejszych ruchów w świecie słowiańskim. Otóż profesor Smolka stanąwszy na bezstronnem stanowisku, podjął się w tym szkicu wykazać, jakie stanowisko zajęła Polska wobec tego ruchu. Jako punkt wyjścia autor wziął dwie zupełnie krańcowe rozprawy pana Prochaski i profesora Caro, z których pierwszy twierdzi, iż polityka ówczesna Polski i Czech w czasach husyckich, aż do odwołania Korybuta z Czech, była wynikiem zgodności Jagiełły i Witołda, oparta na harmonijnem usposobieniu ludności i sejmu, drugi zaś pr. Caro w swojej „Geschichte Polens” odsądza Polskę od wszelkiego współudziału politycznie obmyślanego w sprawie husyckiej, przypisując natomiast wszystko Witołdowi. Oto zasadnicze różnice tych dwóch pisarzy na podstawie których rozwinął swoją pracę profesor Smolka. Ale nie poszedł on drogą ani pierwszą ani drugą. Owszem starał się wykazać, że w Polsce istniały wówczas dwa stronnictwa: jedno z polityką Witołda i Jastrzębca na czele, drugie zaś więcej religijne ze Zbigniewem Oleśnickim, jako swoim przywódzcą. Pierwsze wszelkiemi siłami dążyło do unii czeskiej, drugie zaś reprezentowane przez możnych panów rady, pragnęło sojuszu z cesarzem Zygmuntem, mając w perspektywie przyłączyć do Polski oderwany Szlązk. Promotorem tego projektu, jest Zbigniew, wstępujący po raz pierwszy na widownię polityczną. Bardzo misterną i prawdziwie głęboką jest ta praca — pozwalająca czytelnikowi zajrzéć do laboratoryum politycznego, śledzić krok za krokiem walkę stronnictw i podziwiać genialność owego słynnego Witołda wobec której król Jagiełło wydaje się bardzo maluczkim.

Ostatnim szkicem w tej seryi jest *Słowo o Historyi*. Nie można jednak wypowiedziéć tu w kilku ogólnych rysach zasadniczych podstaw tej pracy, gdyż jest to rzecz polemiczna w której głównie rozbiera profesor Smolka poglądy profesora Bobrzyńskiego i Buckla, zaznaczające pewne „cechy historyczne”. Otóż te właśnie uwagi nie mogą się ująć w pewne formy, gdyż każdy z ludzi posiada swoje odrębne indywidualne zapatrywania. Szkic więc ten ostatni jest może najsłabszym z całej tej seryi. W każdym razie całość, jest bardzo zajmująca, a co więcej interesująca nasz ogół, który powinien o ile możności zwrócić uwagę na tę pożyteczną książkę.

W. C.

W Nowej Wsi dnia 15 kwietnia 1882 r.

Dziewczę i ptaszek.

Powiedz mi powiedz ptaszku mój mały,
Czemu dziś kwilisz tak smutnie?
Czemu po klatce rzucasz się całej?
Co cię tak dręczy okrutnie?

Nietknięte stoi siemię i woda,
Nietknięty listek sałatki,
Co tobie, powiedz ptaszyno młoda,
Czemu wyrywasz się z klatki?

Czylito słońca promyczek złoty,
Co rankiem błysnął tak jasno,
Obudził w tobie nadmiar tęsknoty,
W klatce twej pusto i ciasno!

— Skoro mnie pytasz, odpowiem szczerze,
Z tobą mą bolość podzielę,
O! bo ja twemu współczuciu wierzę,
Młoda dziewczko — aniele.

Dawno już temu byłem szczęśliwy,
Swobodny w braci mych gronie,
Pośród zielonej bujałem niwy,
Spałem na matki mej łonie.

Krótko to trwało — okrutna ręka,
Z mego mnie gniazda wyrwała,
Ah! odtąd życie — to straszna męka,
Obyś jej nigdy nie znała!

Szalona rozpacz długo mną miota,
Nie śpię i nie jem nic wcale,
Aż ustąpiła z serca tęsknota,
Już się na losy nie żalę.

Bom ja o własnej zapomniał matce,
Bracia mi zbiegli z pamięci,
Wody ni ziarnek nie zbrakło w klatce,
Okruszek cukru mnie nęci.

I żyłem sobie jak wiele żyje,
Gdy szczęścia zerwie się wątek,
To sobie śpiewam, to jem, to piję,
To skaczę z prątka na prątek.

Aż dzisiaj rano — tuż obok klatki,
Ujrzałem ptaszę urocze,
Krasne jej piórka — jak u mej matki,
Smutno w skrzydełka trzepocze.

Zbudzony ze snu poglądam tkliwie,
Pytam — zkąd ród swój wywodzi?
A wtem ktoś klatkę zabrał złośliwie,
Cóż mój los kogo obchodzi?

Wróćcie mi wróćcie miłą ptaszynę,
Może mi ona coś powie,
Może widziała moją rodzinę,
Na gniazdku w cichej dąbrowie.

Słyszy to dziewczę i w lot poskoczy,
Powraca z klatką co żywo,
Dalej do pieśni, ptaszek ochoczy,
Opiewa dolę szczęśliwą.

I tylko dziewczę — coś zadumane,
Łezki po licu jej biegą,
Coś odnowiło serca jej ranę —
Płacze... nie pytaj dlaczego?

Bogumiła.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Powróciwszy około dziesiątej na pokoje, zastałem w błękitnym salonie Ksenię samotną. Stała oparta o ramę okna i położywszy czoło na szybie, patrzała bezmyślnemi oczyma na tumany mgły wilgotnej, które wiatr przepędzał po nad ziemią. Zbliżyłem się do niej i stanąwszy obok, złożyłem jej ciche dzieńdobry. Dziewczyna nic nie mówiąc skinęła mi głową i wpatrywała się dalej wzamazany wilgocią krajobraz.

— Panie Sewerynie — rzekła po chwili odsuwając się gwałtownie od okna—radź mi co! Czuję, że jeśli tu pozostanę dłużej, mogę oszaleć.

— Cóż pani chcesz? — zapytałem smutno.

— Nie wiem — odparła mi głosem, w którym drżała gorąca prośba i tęsknota bezmierna.—Nie wiem, chciałabym wyjechać gdzie, uciec ztąd na czas pewien... ulecić jak najdalej, gdyż inaczej, jeśli pozostanę tu jeszcze choćby dni kilka, zwaryuję... zwaryuję niechybnie! — dodała ściskając czoło obiema rękami rozpacznie.

Spojrzałem z litością na jej śliczną zeszczuplałą, wybladłą twarzyczkę i oczy zwiększone jeszcze

sinemi smugami, które ból i troska wyryły na jej licu.

— Cóż chcesz dziecko? — zapytałem łagodnie, ujmując jej rączki lodowo zimne, w obie moje dłonie. — Gdzie chcesz wyjechać?

— Albo ja wiem — rzekła uśmiechając się dziko — albo ja wiem? Gdziekolwiek. Wszystko mi jedno gdzie zresztą... aby tylko wydobyć się z tych murów, aby tylko zobaczyć inne strony i twarze, któreby mi pomogły zapomnieć o tem wszystkiem, co stoi mi tu bezustannie na oczach i myśli. Gdybyś ty wiedział jaka to rzecz okropna, mieć jakąś myśl czarną, która bezustannie pali mózg w głowie i serce w piersi rozrywa, to dzisiaj jeszcze wysłałbyś mnie z domu gdziekolwiek — dodała ściskając mi ręce w swych zimnych, drobnych dłoniach.

— Dziecko — rzekłem — jesteś tu przecież panią i każde życzenie twoje powinno być rozkazem... a choćbyś nawet nią nie była, to wiesz przecie, że nie masz na świecie rzeczy, której nie uczyniłbym dla ciebie. Powiedz tylko gdzie wyjechać pragniesz a możesz być pewną, że postaram się jak najprędzej zadość uczynić twemu życzeniu. Czyż nie życzyłabyś sobie poznać Warszawę? Hrabianka Nina wyjeżdża tam na zimę całą i gdybyś zechciała, znalazłabyś w niej opiekunkę i towarzyszkę rozumną, dobrą i wesołą zarazem.

Ciemne brwi Ukrainki ściągnęły się gwałtownie.

— Nie! — rzekła szybko — nie! nie chcę tego! To byłoby za blizko... spotykałabym tam znowu te same twarze, które przypominałyby mi wszystko! Ja potrzebuję być ztąd jak najdalej... swobodna zupełnie, z tobą tylko lub Anastazyą, lub z kimśkolwiek z was mych najbliższych. Słyszałam tyle o zagranicy, pozwól mi tam wyjechać. Obmyśl mi jaką miejscowość, jakie miasto, gdziebym mogła swobodnie przepędzić czas pewien, ułóż mi sam plan jakiś podróży i wyślij mnie z domu co najrychlej.

Stałem przed nią zamyślony: trudno było obmyślić plan jakiś, do podróży tak nagłej i niespodziewanej.

Po długiej chwili machinalnie prawie podsunąłem jej Drezno. Ksenia z gorączką uchwyciła się tej myśli. Drezno może nieco więcej miało dla niej uroku od miast drugich. Słyszała wiele o artystycznej jego wartości i położeniu malowniczem, odrazu też zdecydowała się na nie, nagląc tylko o pośpiech i jak najrychlejsze wyruszenie z domu.

Przywoławszy pannę Anastazyą do porady, z nią razem ułożyliśmy stanowczo, że pod jej doświadczoną opieką, nasza młoda dziedziczka wyjechać miała za granicę na zimę całą. Zdecydowawszy się raz już na tę drogę, potrzeba było poczynić tylko jeszcze pewne przygotowania co najprędzej, gdyż Ksenia nagliła o pośpiech, pragnąc gorąco wyjechać z Młynow, wraz z panną Lalką, która doczekawszy się zimy i mrozów, czuła już złe ich oddziaływanie na jej wątły przywykły do ciepła i słońca organizm i za dni kilka pociągnąć miała na południe, gdzie od dawna stęskniona oczekiwała ją matka.

Stosunek przyjacielski obydwóch panien, po katastrofie z Eugeniuszem nie uległ żadnej zmianie. Ksenia będąc obecną przy odprawie, jaką Paryżanka dała malarzowi, wrodzonym instynktem i dobrą, prawą naturą swoją, potrafiła ocenić szlachetność przyjaciółki i nie żywiąc ku niej żadnego żalu, przebaczyła jej jak najchętniej mimowolne odebranie jej szczęścia. Nie wiem, czy mówiły z sobą kiedy o całem tem zajściu, wątpię nawet. Nasza Ukrainka zbyt była dumną, aby chciała spowiadać się komu ze swego cierpienia, panna Lalka zaś za wiele posiadała delikatności, aby poruszać miała sama świeżą, krwawiącą ranę serca przyjaciółki. O ile zdawało mi się, obie nie mówiąc z sobą ani słowa, rozumiały się doskonale i stosunek ich przyjacielski od śmierci Jenerałowej, prawie się jeszcze utrwalił. Panna Lalka z radością przyjęła wiadomość o postanowionym wyjeździe Kseni, przyznawała, że jest to jedyny środek, który może rozerwać nieco nasze biedne dziecko i obiecała odprowadzić ją do Drezna zkąd dopiero udać się miała w dalszą podróż do Neapolu.

Tego samego dnia jeszcze wyjechałem do Warszawy, starać się o paszporta dla pań naszych, a po dwóch tygodniach z całym dworem odprowadziliśmy naszą młodą panią na stacyę kolei, zkąd siła pary uniosła nam ją w strony dalekie, podczas gdy my z nauczycielką i kapelanem, powracaliśmy na zimę całą, do cichego teraz i smutnego jak grób domu.

Minęła zima. Wiosna powróciła do nas znowu wiodąc z sobą słońce, łagodne powiewy wiatru i siejąc radość w całem stworzeniu. W Młynach przecież nie było teraz wesoło, nie witaliśmy uroczej bogini tak jak zwykle i zdawało się, że nad cichemi murami naszego domu zapanowała zima wieczna.

Nasza młoda dziedziczka bawiła ciągle zagranicą: po pustych, głuchych salonach pałacu przesuwaliśmy się smutni i milczący, jak dusze pokutujące, wśród tęsknoty i jednostajności, od czasu do czasu, przerywały nam tylko odwiedziny Mirskiego, który siedząc stale w swej Woli jedyny zdawał się nie zapominać o nas w niedoli, przyjeżdżając dość często i spędzając z nami wcale niewesołe, długie wieczorne godziny podczas śnieżnych zawieruch zimowych.

Wiadomości z Drezna odbieraliśmy dosyć nieregularnie. Z początku Ksenia pisywała do mnie często, donosiła mi, że jest z obecnego swego pobytu zadowoloną, opisywała wrażenia swoje z podróży i świata, który po raz pierwszy poznawała teraz w szerszym zakresie o ile wnosić mogłem z jej listów, zdawało się, że choć jeszcze bardzo smutna, ale powoli uspokajać się poczyna. Wkrótce przecież listy jej stawały się coraz rzadsze i krótsze. Około nowego roku odebrałem jeszcze list jeden, w którym Ukrainka prosiła mnie usilnie, abym jej do Drezna przysłał koniecznie Burana, bez którego obyć się tam nie mogła, gdyż jak pisała w żadnej niemieckiej ujeżdżalni dobrać sobie konia dobrego nie mogła. W dni kilka po odebraniu jej pisma, wysłałem mej faworytce naszego rządzcę z koniem i Grzegorzem.

Grzegórz wraz z karoszem pozostał zagranicą, a rządzca za powrotem, przywiózł mi króciutki bilecik, w którym moja dziewczynka przesyłała mi gorące podziękowania za nadesłanie jej faworyta i że zastał młodą panią zdrową, lepiej wyglądającą i niby weselszą niż była.

Od tego czasu Ksenia pisać przestała zupełnie, wyręczając się panną Anastazyą, która donosiła mi dosyć ogólnikowo, że Ksenia ma się dobrze, że powoli powraca do zwykłego swego zdrowia i staje się coraz weselszą, że zrobiwszy znajomość z pewną bogatą galicyjską damą, przepędzającą tam zimę, weszły przez nią w koła polskie żyjące tam na obczyznie i zabierają coraz więcej znajomości, że piękność naszej Ukrainki zwraca na siebie uwagę całej stolicy, że jest poszukiwaną w towarzystwach, że wszyscy garną się do pięknej i milionowej dziedziczki, i że drzwi ich domu nie zamykają się prawie przed natłokiem gości.

Z początku niebardzo zważałem na tę zmianę; wiedziałem, że moja ukochana dziewczynka jest zdrową i odzyskuje zwolna swój zwykły humor, wiedziałem, że imię hrabiny pod której przewodnictwem moja pupilka weszła w towarzystwa, jest znanem w całej Galicyi i powszechnie szanowanem i choć przykro mi było, że Ksenia zaniedbuje korespondencyi ze mną, którą częstą przyrzekła przy odjeździe, byłem spokojny i zadowolony. Niedługo przecież i w listach panny Boćwińskiej spostrzegłem pewną zmianę. Stały się one co rza rzadsze, krótsze i urywkowe tak, że w końcu kwietnia odebrawszy kilka tylko słów niejasnych; napisałem długi, serdeczny list do Kseni, w którym prosiłem ją usilnie, aby odpisała mi własnoręcznie list długi, szczegółowy, donosząc mi wszystko o sobie i tłomacząc, co znaczy to milczenie, którego nie rozumiem. W dwa tygodnie potem odebrałem dopiero odpowiedź Kseni, która mnie mocno zaniepokoiła.

„Mój drogi przyjacielu! — pisała. — Cóż ja ci mam pisać? Od Anastazyi musisz wiedzieć, że jestem zdrowa i żyję... oprócz tego dodam ci chyba, że się bawię! Jeśli cię to bardzo interesuje, to ci powiem, że przed tygodniem byłam na koncercie amatorskim, który nasza kolonia ułożyła na korzyść polskiej, uczącej się tu niezamożnej młodzi, na którym byłam nazwaną „gwiazdą wieczoru!” W sobotę zeszłą odbywała się u hrabiny X. feta wielka imieninowa, od której uwolnić się nie mogłam pomimo najszczerszej woli i musiałam być obecną, a chociaż nie tańczyłam, i miałam suknię czarną krepową tylko, okrzyknięto mnie jednogłośnie balu królową i niejedna panna nudziła się nie tańcząc dlatego tylko, że wszystka młodzież zbierała się przy mnie. W niedzielę tak samo byłyśmy na Fauście i loża nasza przez całe przedstawienie w literalnem znajdowała się oblężeniu. Bawię się i jestem uwielbianą. Jestem uwielbianą i bawię się! Czyż to nie zajmujące? O! ty mój staruszku nie masz pojęcia jak ja się tu bawię szalenie! Czy ty pojmiesz, co to za rozkosz być uwielbianą, sławioną jak bóstwo przed którem mało że się nie modlą? Co do mnie, to sprawia mi to taką przyjemność szaloną, że lękam się, aby mi się to nie znudziło kiedykolwiek, bo w takim razie co jabym robiła na świecie? To szczęście, że czasami czuję się tem wszystkiem zmęczoną śmiertelnie a ze zbytku zmęczenia, może podobno kiedyś sił braknąć! i... i... no krótki koniec krótkiego żywota! Otóż masz na końcu nową filozoficzną sentencyą twej szalonej faworytki. Jak kiedyś umrę, każ mi ją wyryć na kamieniu grobowym i dodaj pod spodem od siebie: *dobrze że się tak stało*! Ściskam cię serdecznie mój stary, jedyny w świecie przyjacielu.

Ksenia.

P. S. A nie bierz seryo tego wszystkiego co ci tu pisałam...”

Po przeczytaniu tego listu owładnął mną na nowo żywy niepokój. Pomimo widocznego usiłowania do utrzymania się w wesołym tonie, czułem w piśmie mej faworytki jakieś fałszywe tony, które przekonywały mnie pomimo jej woli, że wyjazd za granicę nie bardzo jej pomógł, jakiś krzyk zrozpaczonego serca, który napróżno zagłuszyć chciała śmiechem sztucznie udanym:

Zmartwiony i zakłopotany, przechadzałem się właśnie po moim pokoju, rozmyślając nad tem,

jak jeden czyn bezmyślny nikczemnika może na zawsze zniszczyć i zmarnować całe szczęście czystego a swobodnego dawniej serca, gdy drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł Mirski. Pozostawiwszy konia przed stajniami, wszedł do pałacu od ogrodu tak, że nikt ze służby nie spostrzegł i nie zameldował mi jego przybycia.

Przy powitaniu zaraz, młody mój przyjaciel ujrzał troskę na mem czole i zapytał odrazu co mam na sercu?

— Odebrałem list od Kseni — odparłem mu markotnie.

— I to przyprowadziło pana w taką chmurną fizyognomię?—zapytał siadając naprzeciwko mnie.

Jak już mówiłem, pomimo całej przyjaźni jaką miałem dla Mirskiego, nie mogłem darować mu ostatniego jego rozejścia się z moją dziewczynką i żywiąc do niego w głębi duszy żal niczem niewytłomaczony, nigdy już odtąd nie mówiłem z nim o niej ani słowa. Dzisiaj przecież byłem tak smutny i skłopotany, że nic nie mówiąc, wyciągnąłem z kieszeni i podałem mu list Kseni.

Młody człowiek nie mówiąc ani słowa przeczytał go bardzo uważnie, raz jeden i drugi, potem w milczeniu złożył go jak najspokojniej i po chwili zapytał, jak stoją oziminy i czy daleko jestem z robotami wiosennemi w polu?

Byłem przyzwyczajony do podobnych zwrotów młodego inżyniera, a przecież w tej chwili zapytanie to po odczytaniu listu kobiety, którą wiedziałem, że kochał, rozgniewało mnie prawie.

Pół żartem, pół seryo powiedziałem mu, że nie posiadam tak szczęśliwie jak on mocnego systemu nerwów, dzięki któremu może pozostać zawsze spokojnym i chłodnym i przyznałem się, że troski o moją pupilkę, tak mi zaprzątnęły głowę, że nie mógłbym mu w tej chwili powiedzieć nawet dokładnie, jakie na dzień dzisiejszy wydałem dyspozycye i czy na łanie od jego Woli sieją dziś owies czy tatarkę.

Mirski uśmiechnął się na to tylko jak zwykle, trochę smutno, trochę chmurno, posiedział jeszcze z pół godziny, porozmawialiśmy trochę o rzeczach potocznych i wiadomościach gazeciarskich, a potem zawołał o konia i odjechał jak zwykle do domu.

Po jego odjeździe w kwadrans zdecydowałem się na podróż do Drezna. Czułem się tak niespokojny i rozdrażniony, że niepodobna mi było pomyśleć o czemśkolwiek innem, jak nie o liście Kseni. Nie mówiąc nic nikomu, począłem składać niewielki pakunek podróżny, w zamiarze wyjechania z domu tak, aby nikt nie domyślał się nawet rzeczywistego celu mej podróży. Czułem gorące pragnienie obaczenia mej Ukrainki, uściskania jej i uspokojenia się co do zdrowia jej tak fizycznego, jak moralnego. Umyśliłem sobie wpaść do Drezna na chwilę tylko, zabawić tam dzień, dwa najwyżej i za tydzień powrócić do mych codziennych zajęć gospodarczych.

W godzinę waliska moja podróżna stała już upakowana do drogi: nazajutrz skoro świt, wyruszyłem z domu, a dnia trzeciego przed wieczorem ujrzałem z daleka wieże i gmachy celu mej tajemniczej wycieczki.

(D. c. n.)

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

Śmiałym i pewnym jeszcze krokiem, po zapylonej drodze i wśród największego słonecznego skwaru, stary ksiądz Konstanty raźno kroczył.

Upływało już lat trzydzieści jak był proboszczem niewielkiej wioski, która tam w końcu równiny, rozścielała się nad brzegami malutkiej rzeczułki, zwanej la Lizotte.

Ksiądz Konstanty już od kwadransa postępował wzdłuż muru ogradzającego park zamku de Longueval, aż doszedł nareszcie do bramy wjazdowej. Ciężka i wysoka otwierała się pomiędzy dwoma ciężkiemi słupami, których kamienie brunatnemi i czerwonawemi czas okrył farbami. Ksiądz się zatrzymał i smutnie począł się przyglądać dwom ogromnym niebieskim afiszom na słupach poprzylepianym.

Afisze owe zawiadamiały, że we środę, dnia 18 maja 1881 roku o godzinie pierwszej po południu, odbędzie się sprzedaż drogą licytacyi, przed trybunałem cywilnym w Souvigny, majątku Longaeval, podzielonego na cztery części:

1. Zamek Longueval z przynależnościami, licznemi zabudowaniami, obszernemi stawami i parkiem stu pięćdziesięciu hektarów przestrzeni, cały murem opasany, z rzeczką Lizotte wzdłuż niego przebiegającą. Licytacya rozpocznie się od sumy szacunkowej sześćkroć sto tysięcy franków.

2. Ferma de Blanche-Couronne, trzysta hektarów ziemi, wszystkie zabudowania w dobrym stanie, cena szacunkowa pięćkroć sto tysięcy franków.

3. Ferma de la Rozeraie, tak samo, przestrzeń dwieście pięćdziesiąt hektarów, szacunek czterykroć sto tysięcy.

4. Lasy i poręby de la Mienne, zajmujące czterysta pięćdziesiąt hektarów. Cena pięćkroć pięćdziesiąt tysięcy franków.

Te cztery cyfry dodane do siebie u dołu afiszów wykazywały wcale poważną summę dwóch milionów pięćdziesięciu tysięcy franków.

Tak więc miała zostać rozkawałkowaną ta wspaniała posiadłość, która więcej jak od dwóch wieków, pomimo najróżnorodniejszych a często niepomyślnych przewrotów, pozostawała nietkniętą i w rodzinie Longueval, zawsze z ojca na syna przechodziła. Afisze zastrzegały wprawdzie, że po prowizorycznej sprzedaży każdej z tych części, będą mogły być połączone i posiadłość w pierwotnej swej całości wystawiona na licytacyą, wszelako za wielki to był majątek i według wszelkiego prawdopodobieństwa, żaden na ową całość nie znajdzie się nabywca.

Margrabina de Longueval od sześciu miesięcy spoczywała w grobie, dawno już przedtem, bo jeszcze w 1873 r. straciwszy jedynego syna Roberta de Longueval, spadkobiercami zatem byli wnuk i wnuczki margrabiny: Piotr, Helena i Kamilla. Majętność musiano wystawić na sprzedaż, Helena i Kamilla były małoletnie a Piotr dwudziesto trzyletni młodzieniec, tracił po szalonemu i już znaczną część majątku odłużywszy, nie mógł myśleć o wykupieniu rodzinnej posiadłości.

Zbliżyło się południe. Za godzinę ów zamek de Longueval przejdzie w ręce nowego pana. A tenże pan, kto nim będzie? Jakaż kobieta w wielkim salonie staremi gobelinami zawieszonym, zajmie w rogu kominka miejsce margrabiny starej przyjaciółki biednego wiejskiego proboszcza? Onato dźwignęła z ruiny kościołek miejscowy, onato zaopatrywała i utrzymywała apteczkę na probostwie, będącą w rozporządzeniu starej Pauliny, dawnej gospodyni księdza, onato dwa razy na tydzień, w swym wielkim odkrytym powozie, zapełnionym ciepłemi dziecinnemi sukienkami i zapasami wszelkiemi, zajeżdżała po księdza Konstantego i zabierała go z sobą, jak mówiła, aby *polować na ubogich.*

Myśląc o tem wszystkiem, szedł dalej ksiądz stary, rozmyślając o swych drogich nawyknieniach lat trzydziestu, tak nagle przerwanych. Co czwartek i co niedziela od lat trzydziestu obiadował zawsze w zamku... A jak go przyjmowano, jak dogadzano i pieszczono!... Mała Kamilka miała wtedy lat ośm, siadała na jego kolanach i mówiła:

— Pamiętaj księżę proboszczu, że chcę brać ślub tylko w twoim kościele, wtedy babcia przyszle kwiatów tak dużo, tak dużo... że nie tylko cały ołtarz, ale cały kościół się ubierze i będzie jak wielki, wielki ogród wyglądać! Poproszę żeby było więcej kwiatów niż w miesiącu Maryi.

Miesiąc Maryi!... Właśnie teraz był on, ów miesiąc czci Najświętszej Panny poświęcony; dawniej w tym czasie ołtarz znikał pod massą kwiatów z zamkowej oranżeryi przysłanych. A w tym roku, na ubranie ołtarza, zaledwie trochę zieloności i kilka nędznych bukiecików bzu białego i leśnej konwalii w potłukanych porcelanowych wazonikach się znalazło. Dawniej co niedziela a co wieczór podczas miesiąca Maryi, panna Hebert, lektorka pani de Longueval, zasiadała do małego organu przez margrabinę darowanego. Dziś, mały organ do milczenia zmuszony, nie towarzyszył już śpiewom pobożnych i hymnom dziecinnym. Panna Marbeau, dyrektorka poczty, była wprawdzie nieco muzykalną i chętnie zajęłaby miejsce panny Hebert, ale nie śmiała, lękała się być notowaną jako klerykalna i oskarżoną przed panem merem, który był wolnomyślącym. To mogło zaszkodzić jej karyerze.

Ksiądz doszedł do końca parku, którego znał tak dobrze wszystkie ścieżki i zakręty. Droga ciągnęła się teraz brzegiem Lizotty, a po drugiej stronie rzeczki rozścielały się łąki ferm obu... a dalej za niemi wznosił się wysokopienny las de la Mionne. I majętność ta miała być podzieloną, pokawałkowaną!... Sama myśl o tem rozdzierała serce biednego proboszcza. Dla niego od lat trzydziestu, wszystko to trzymało się z sobą, jedno stanowiło ciało. Ta wielka posiadłość była w części jakby jego rzeczą, jego własnością. Czuł się u siebie na ziemiach Longuevalu. Nieraz mu się zdarzało zatrzymywać się z zadowolnieniem przed jakim wielkim łanem zboża, zerwać kłos dorodny, wytrzeć go w ręku i mówić do siebie:

— Ziarno piękne, równe i ciężkie, Bogu niech będą dzięki, dobry zbiór będziemy mieć w tym roku.

I z radością w sercu szedł dalej drogą przez pola i łąki, słowem wszystkiemi okolicznościami swego życia, wspomnieniami i nawyknieniami, był on związany z tą majętnością, której właśnie ostatnia wybiła godzina.

Ksiądz spostrzegł w oddali dachy fermy de Blanche-Couronne, których czerwone dachówki jaskrawo na zieleni lasu się odbijały. I tam ksiądz Konstanty był jak u siebie. Bernard, dzierżawca margrabiny był jego przyjacielem i kiedy stary proboszcz zapóźniwszy się w swych wycieczkach do chorych i biednych, uczuwał znużenie w nogach a ckliwość w żołądku, wstępował do fermy, zjadał smaczną wieczerzę i wypijał kufelek jabłecznika. Poczem Bernard sam zaprzęgał swą karą klacz do wyplatanej karyolki i na probostwo odwoził staruszka. Przez całą drogę żwawo rozprawiali; proboszcz upominał zapobiegliwego dzierżawcę iż nie dość często na mszę przychodzi, a ten mu odpowiadał:

— Moja żona i córki za mnie chodzą. Wszakże wiesz, kochany proboszczu, że u nas zawsze tak bywa. Nasze kobiety za siebie i za mężczyzn się modlą. One nam otworzą drogę do raju.

I złośliwie dodawał, z lekka trącając biczem swą klacz karą:

— Jeżeli on się gdzie znajduje!

A probosz podskakiwał w starej karyolce.

— Jakto! jeżeli się znajduje? Ależ to rzecz pewna! O tem wątpić się nie godzi!

— Kiedy tak, to będziesz w nim, kochany proboszczu. Choć mówisz żeś nań nie zasłużył... ale ja ci powiadam, że w nim będziesz... Tak, bedziesz w nim!... I będziesz stać u drzwi, czatując na swych parafian i nie przestając zajmować się ich sprawami... Powiesz świętemu Piotrowi... bo to podobno Piotr św. ma w ręku klucze od raju...

— A tak, święty Piotr.

— A więc powiesz świętemu Piotrowi, gdyby wypadkiem chciał mi przed nosem drzwi zamknąć z przyczyny, że rzadko bywałem w kościele, powiesz mu: „Eh! wpuśćcie go jednakże... To Bernard, jeden z dzierżawców margrabiny, dobry, uczciwy człowiek.. Należał do rady municypalnej i głosował za utrzymaniem sióstr, które chciano usunąć z naszej szkoły...” To wzruszy świętego Piotra, który odpowie: „No, chodź już, chodź Bernardzie, ale pamiętaj że puszczam cię jedynie, aby uczynić przyjemność zacnemu proboszczowi.” Bo i tam będziesz jeszcze proboszczem i to proboszczem Longuevalu. Raj smutnymby ci się wydał, gdybyś w nim probostwa swego nie zachował.

Proboszczem w Longuevalu, tak całe swe życie był nim tylko, nie marzył o czem innem i nic nie chciał więcej. Trzy czy cztery razy dawano mu obszerne parafie, po jednym lub dwóch wikaryuszów posiadające i znaczne przynoszące dochody. Ale on zawsze odmawiał. Kochał swój mały kościołek, swą małą wioseczkę, swe małe probostwo. Sam jeden w niem przebywał, sam wszystko robił, wiecznie po drogach i drożynkach, z chaty do chaty, czy to w upał czy słotę, na wietrze i na deszczu. Ciało jego zahartowało się w ciągłym trudzie, a dusza łagodną i czułą pozostała.

Mieszkał na swem probostwie w wielkiej włościańskiej chacie, cmentarzem od kościołka oddzielonej. Kiedy drapał się na drabinę, aby rozpinać swe grusze i brzoskwinie, widział przez wierzch muru mogiłki tych nad którymi ostatnie odmówił pacierze i pierwszą garstkę ziemi rzucił. Wtedy, nie przerywając swych zajęć ogrodniczych, odmawiał ścicha Anioł Pański za dusze tych o których zbawienie najbardziej się obawiał i które mogły być w czyścu zatrzymane. Wiara jego była głęboką, naiwną i spokojną.

Ale pomiędzy temi grobami, znajdował się jeden, który częściej od nich odwiedziny jego i modły wywoływał. Był to grób starego przyjaciela, doktora Reynaud, zmarłego na jego rękach w 1871 roku i w jakich jeszcze okolicznościach!

Doktor podobny był nieco do Bernarda, nie chodził do kościoła, nie spowiadał się nawet, ale jakże był dobry, jak miłosierny, jak wylany i usłużny dla wszystkich cierpiących! Myślą najbardziej zajmującą starego proboszcza, jego największą troską było: gdzie teraz przyjaciel jego Reynaud się znajduje? Lecz wnet rozwijało się przed nim całe życie starego wioskowego lekarza, życie z zaparcia się siebie, poświęcenia i odwagi splecione i odpowiadał sobie:

— W raju! nie może być jak tylko w raju! Bóg dobry kazał mu zapewne przejść przez czyściec... ot tak, dla formy tylko, ale musiał go wyprowadzić ztamtąd po kilku minutach.

Takie to myśli przechodziły przez głowę starego proboszcza, podczas jego pieszej wędrówki do Souvigny. Szedł do miasteczka, do adwokata Margrabiny, aby się dowiedzieć o rezultacie licytacyi o tem kto został panem Longuevalu. Ksiądz miał jeszcze około jednego kilometra do przebycia, zanim dojdzie do pierwszych domów miasteczka i szedł teraz wzdłuż muru zamykającego park de Lavardens, gdy nad sobą usłyszał głosy, które go wołały:

— Księżę proboszczu! księżę proboszczu!

W tem miejscu, na równi z murem ciągnęła się terasa staremi lipami w aleję wysadzona i ksiądz podniosłszy głowę, ujrzał panią de Lavardens z synem swym Pawłem.

— Gdzie idziesz, księżę proboszczu? — zapytała hrabina.

— Do Souvigny, do trybunału, aby się dowiedzieć..

— Zostań tu lepiej. Pan de Larnac wnet przyjdzie, zaraz po ukończeniu licytacyi, aby mnie o wszystkiem uwiadomić.

Ksiądz Konstanty wszedł na terasę.

Życie Gertrudy de Launilis, hrabiny de Lavardens, było bardzo nieszczęśliwe. W ośmnastym roku życia popełniła szaleństwo, jedyne w swem życiu, ale naprawić się niedające. Wyszła za mąż z miłości, w chwili uniesienia i egzaltacyi za p. de Lavardens, jednego z najmilszych, najdowcipniejszych ludzi swego czasu. On zaś jej nie kochał wcale, a żenił się z konieczności, przejadłszy i przehulawszy znaczny majątek po ojcu odziedziczony i od dwóch czy trzech lat żyjąc w wielkim świecie środkami wcale na pochwałę nie zasługującemi. Pauna de Launilis wiedziała o tem wszystkiem i żadnych sobie nie czyniła iluzyi, lecz w duchu powtarzała:

— Ja go tak bardzo kochać będę, że w końcu musi mnie pokochać a wtedy się odmieni.

Ztąd wszystkie jej nieszczęście. Życie jej byłoby znośnem może, gdyby tak bardzo nie kochała męża, ale ona nazbyt w nim była rozmiłowaną, nadzieja zupełnie zawiodła i zamiast przywiązać, bardziej jeszcze odstręczyła go swą miłością i czułościami. Jeszcze z większem szaleństwem rzucił się w wir życia najnieporządniejszego. Lat piętnaście upłynęło w ciągłem męczeństwie, znoszonem przez panią de Lavardens z pozornym spokojem i rezygnacyą, których w sercu wcale nie miała. Nic nie mogło ją rozerwać ani uleczyć z tej miłości, która całe jej życie zatruła.

Pan de Lavardens zmarł w 1869 roku, zostawiając czternastoletniego syna, wszystkie wady i wszystkie przymioty ojca już okazującego. Jakkolwiek nie zupełnie zniszczony, majątek pani de Lavardens mocno szarpnięty został. Hrabina sprzedała swój pałac w Paryżu i na wsi osiadła, zaprowadzając wielkie oszczędności, oddając się urządzeniu interesów a głównie wychowaniu syna.

Lecz tu nowe niepokoje i smutki ją oczekiwały. Paweł de Lavardens posiadał bystrą inteligencyą, dobry był i uprzejmy, ale nikomu nie uległy i niechętny do jakiejbądź pracy. Doprowadziwszy do rozpaczy trzecz czy czterech nauczycieli, którzy nadaremnie próbowali skierować jego umysł do jakiegoś poważniejszego zajęcia, próbował zdać egzamin do szkoły politechnicznej i nie został przyjęty, lecz pocieszył się prędko przehulawszy w Paryżu ze trzykroć sto tysięcy franków w sposób najszaleńszy.

Poczem zaciągnął się do pierwszego pułku strzelców afrykańskich i tu mu szczęście posłużyło, bo na samym wstępie, należąc do małego oddziału ekspedycyjnego w Saharze, mężnie się znalazł i zwrócił na siebie oczy starszych oficerów. Po dwóch latach miał już zostać podporucznikiem gdy zakochawszy się w młodej osóbce, która w Algerze grywała *Córkę pani Angot*, służbę wojskową opuścił, ukończywszy czas prawem naznaczony i pospieszył do Paryża w towarzystwie owej młodej operetkowej śpiewaczki. Po niej nastąpiła tancerka, tę usunęła artystka dramatu, zluzowana wkrótce przez woltyżerkę z hipodromu. Próbował wszystkich rodzajów. Żył świetnem ale nędznem życiem ludzi zajęcia niemających... Nie przepędzał jednak w Paryżu więcej nad trzy lub cztery miesiące. Matka wypłacała mu rocznie trzydzieści tysięcy franków i oświadczyła, że póki ona żyje, więcej ani grosza mu nie da aż do ożenienia. Znając dobrze swoją matkę wiedział że słowa jej nie były płonne, a majątek do niej należał. To też pragnąc utrzymać pewne stanowisko w Paryżu i prowadzić świetniejsze życie, wydawał swoje trzydzieści tysięcy franków od marca do maja, poczem na resztę roku spokojnie wracał do Lavardens, gdzie polował, ryby łowił i jeździł konno z oficerami pułku artyleryi stojącego garnizonem w Souvigny. Małe modniarki i małe gryzetki prowincyonalne zastępowały wówczas mniej więcej śpiewaczki i artystki paryzkie. Poszukawszy nieco, można jeszcze wynaleźć na prowincyi prawdziwe gryzetki, a Paweł szukał wytrwale.

Skoro proboszcz znalazł się w obecności pani de Lavardens, ta się odezwała:

— Mogę księdzu proboszczowi nie czekając na przyjazd pana de Larnac, powiedzieć nazwiska nabywców Longuevalu. Jestem zupełnie spokojną i nie wątpię o powodzeniu naszej kombinacyi. Ażeby niepotrzebnie nie walczyć z sobą, porozumieliśmy się i naprzód się już ułożyli, nasz sąsiad pan de Larnac, ja i pan Gallard, bogaty bankier paryzki: p. de Larnac nabędzie lasy de la Mionne, p. Gallard zamek i fermę de Blanche-Couronne, a ja fermę la Rozeraie. O! znam dobrze księdza proboszcza i wiem, że musisz być w strachu o swoich biednych. Ale uspokój się. Ci Gallardowie są bardzo bogaci i chętnie dawać będą ile zapotrzebujesz.

W tej chwili w dali na drodze ukazał się powóz kłębami kurzu otoczony.

(D. c. n.)

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

X.

T A N G E R.

Wspomnienia panowania maurytańskiego, tłumnie cisnące się na myśl turystom zwiedzającym Hiszpanią południową, pomniki równie piękne jak oryginalne, które swą architekturą, układem a szczególniej stylem ornamentalnym przenoszą myśl i wyobraźnię ku wielkości i potędze Abd-er-Rahmanów i cudownych opowieści z pięknych czasów Grenady i Abenceragów; wspomnienia te budzą w podróżniku żywą żądzę zdania sobie sprawy czem też są dziś, mniej więcej autentyczni, potomkowie tego ludu afrykańskiego, który dzięki swej kulturze intelektualnej i niezachwianej zaborczej odwadze, zdołał tak wspaniałym blaskiem kilka opromienić wieków. Otóż nastręcza się do tego sposobność — jesteśmy tak blizko Maroko — tylko, niestety! w tem państwie afrykańskiem podróż jest nader trudną i długą. Zaledwie we dwadzieścia dni można dostać się do Maroko, a we dwanaście do Fezu, świętego miasta, do którego przystęp dotąd pod karą śmierci wzbroniony jest cudzoziemcom, z wyjątkiem jeżli przybywają w charakterze posła do sułtana. Lecz i w takim razie niewolno zabawić tu dłużej nad kilka godzin.

Tak więc prosty turysta, którego ciekawość nie sięga znów tak daleko żeby aż głowę ryzykował dla jej zaspokojenia, musi poprzestać na zwiedzeniu Tetuami lub Tangeru. Wybrawszy to ostatnie miasto, w piękny poranek w pierwszych dniach lutego, odpłynęliśmy na małym parowcu angielskim, który jeźli czas sprzyja, raczy dostawiać turystów do Maroko, ale nie raczy czekać aby ich zabrać z powrotem, jeźli chmura jaka pojawi się na horyzoncie.

Z Gibraltaru miejscowości tak licznie uczęszczanej, mamy dostać się w przeciągu kilku godzin do kraju niemniej znanego w świecie, o którym posiadamy tylko bardzo niepewne wiadomości, które więcej zakrawają na bajkę niż na rzeczywistość.

Płynęliśmy prędko między dwoma wybrzeżami cieśniny po nad któremi unosiła się srebrzysta mgła, wśród której rysowało się nagromadzenie białych domów wznoszących się w amfiteatr jak w Algierze, tylko na daleko mniejszej przestrzeni. Wśród nich rozrzucone są minarety, palmy i wysokie na wpół rozwalone mury. Około miasta rozrzucone zielone wzgórza na których rosną rzadko sosny i drzewa rożkowe (karubije, wydające słodki chleb świętojański), przerzynane tu i owdzie rzędami fig i aloesów. Nad tem wszystkiem góruje stary pałac maurytański i zdobiące go wieżyce.

Jak tylko wpłynęliśmy do zatoki, statek nasz otoczyły małe łodzie, w których siedzieli dziwni jacyś ludzie, dziwniej jeszcze odziani. Bylito Arabowie o bronzowej cerze, Marokanie odrażająco czarni i mulaci rozmaitych pośrednich typów, jedni mieli wygolone, połyskujące czaszki, drudzy przystroili głowy w fezy i turbany, nogi wszyscy mieli bose. Zręczni jak małpy uwijali się na wszystkie strony, krzyczeli wydając niemiłe gardłowe dźwięki, jakby zagrażające napadem. Biedny podróżnik musi być mniej więcej zaniepokojonym i namyśla się czy nie lepiej nie opuszczać statku i odpłynąć napowrót, niż wyladować na tak niegościnną ziemię, która, wnosząc z tego co widzi, pewnie nader niemiłe gotuje mu niespodzianki. Wtem parowiec nasz szturmem zdobyty zostaje, ci półdzicy wpadają wyjąć i rozchwytują nasze bagaże; każdy chwyta najbliższe siebie przedmioty, tak zawzięcie, że ani myśleć o oporze. Będący między nimi Arabowie, nie wydają się bynajmniej więcej ucywilizowani od innych. Czyż być może aby to byli potomkowie owych wielkich Maurów hiszpańskich?... Później odpowiemy na to pytanie, zresztą dziś wcale niewolno się skarżyć jeźli los zdarzy nam coś niespodziewanego napotkać w podróży — należy przeciwnie uważać to za traf nader szczęśliwy. Cywilizacya ma niezaprzeczenie wiele dobrych stron, ale ma także jedną bardzo niepożądaną — jednostajność.

Przed parą jeszcze laty, chcąc wylądować, trzeba było wsiąść jak na konia na kark silnego murzyna — ale jak wiele innych rzeczy i tę uciechę zepsuła cywilizacya! Dziś wysiada się po prostu na urządzoną w tym celu groblę, nie wpłynęło to jednak nic a nic na natarczywość i wymagania tego niespokojnego i kłótliwego ludu, który ciśnie się pod pozorem usłużenia nam, a rzeczywiście dla obdarcia. Wchodzimy do miasta przez starożytną bramę, postępując z trudnością przez nędzne ciasne uliczki, których bruk dosięgający trzydziestu wieków nie był nigdy oczyszczany ani naprawiany. Był to właśnie dzień targowy, to też ciasne te labirynty natłoczone były Arabami mającymi roztargnioną minę, owiniętych w czarne lub białe burnusy, przez żydów myślących o jakichś geszeftach, oraz przez kobiety wysuwające ostrożnie jedno oko z pod swych fantastycznych białych wełnianych zasłon.

Nareszcie doszliśmy do wcale niepozornego domu, zaszczyconego tytułem hotelu; spotkała nas jednak miła bardzo niespodzianka, gdyż znaleźliśmy w nim lepsze niż można się było spodziewać schronienie. Przez uliczki bez nazwiska, po obu stronach których znajdują się mieszkania bez numerów i okien, ciasne szopy mało co większe od budek szyldwachów, przysłonięte poszarpanemi namiotami, pod któremi siedzą na ziemi ich właściciele, ze skrzyżowanemi na turecki sposób nogami, z długiemi białemi brodami i w turbanach na głowie, którzy zdają się o tem tylko myśleć, aby czas ubiegał sobie i nikt nie naruszał ich spokoju.

Przybywamy na targ; jest to zdaje się jedyne miejsce w którem Arabowie otrząsają się chwilowo ze swego niedbalstwa i lenistwa. Z jednej strony ustawiono dość chude bydło, z drugiej konie z pięknemi szyjami i bogatą grzywą, a nieco dalej łagodne i posłuszne wielbłądy, te posłuszne sługi dzieci pustyni.

W pośrodku ugrupowała się wkoło liczna gromada Arabów, zasiadłszy w kuczki jakby w zaimprowizowanym teatrze, dla słuchania opowiadań nacechowanych często namiętną poezyą, zostawiającą zawsze szerokie pole cudowności. W chwili gdy przybliżyłem się z moim tłomaczem, Arab jakiś prawił z wielkiem ożywieniem o pewnej młodej dziewczynie mającej przywilej rozmawiania z niebieskiemi osobistościami, podczas cudownych swych widzeń. Pewnego razu miała rozmowę z Mojżeszem i korzystając z tej sposobności, strofowała go żywo, że nie zapowiedział przyjścia Mahometa i nie miał najmniejszego pojęcia o rozkoszach raju, w którym wszystkie kobiety są huryskami. „A więc też dla ukarania cię za tę winę, dodała, Allah skazał cię Proroku, na tę srogą karę, iż na całą wieczność niedostępnem będzie dla ciebie ten raj rozkoszy."

Żywo dotknięty tą mową, Mojżesz odpowiada że jej niebo jest całkiem inne, a huryski są tam niepotrzebne, jednakże ochłonąwszy, poznał po chwili iż raj jego niedorównywa rajowi Mahometa. Wyznanie to bardzo podobało się słuchaczom.

Trubadur w burnusie prawił swój monolog z towarzyszeniem tamborina; w miejscach poważnych uderzał w nie powoli, aby głuchy wydawały odgłos, w patetycznych zwrotach prędko i głośno, aby zwrócić uwagę słuchaczy. Sposób ten możnaby zastosować z korzyścią w pewnych obradujących zgromadzeniach — tu jest zbytecznym, albowiem słuchacze przysłuchują się z natężoną uwagą, uważając wygłaszane baśnie za niezaprzeczoną rzeczywistość.

Z sąsiedniego wzgórza można objąć spojrzeniem cały rynek targowy. Zapełniający go tłum porusza się poważnie i powoli, wszyscy tak kupujący jak sprzedający, odziani są w białe burnusy, z kapturami zarzuconemi na głowę, co przywodzi na myśl dzień sądu ostatecznego, kiedy trąba archanioła wywoła z grobu zmarłych odzianych w swe całuny.

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wykolejony, nowella. Warszawa 1882 r.

Młody i mało dotąd znany nowelista przybył nam w tych czasach i stanął w szeregach śmiało idących do walki ze światem i uprzedzeniami. Tym nowym a jak się zdaje pożytecznym pracownikiem na niwie literatury ojczystej jest p. Artur Gruszecki. Jako o współpracowniku niniejszego pisma a którego nowelka p. t. „Bohater" niedawno w łamach „Tygodnika Mód" pomieszczoną była, właściwie nie wypadałoby nam mówić, aby nas nie posądzono o *wzajemną adoracyą*, jednak z obowiązku naszego uczynić to musimy tem chętniej że z całą bezstronnością przyznajemy iż „Wykolejony" na pominięcie milczeniem lub też na prostą wzmiankę nie zasługuje.

Rzecz dzieje się u podnóża Karpat na zapadłem Pokuciu w małem podgórskiem miasteczku. Pan Stanisław, syn niezamożnych rodziców, skończywszy gimnazyalne szkoły udał się na uniwersytet i zniknął na lat kilka z oczów znajomych i rodziny. W czasie tym rodzice pomarli i pozostała tylko przy życiu stara ciotka chowająca przy sobie młodą sierotę daleką krewną. Dnia pewnego z końcem maja, p. Stanisław nagle stanął przed ciotką mieszkającą w małym dworku należącym do niej wraz z kawałkiem pola i ładnym ogródkiem. Wiadomość o przybyciu Stanisława wnet

się rozbiegła po miasteczku, starzy znajomi przypomnieli go sobie i pospieszyli go poznać teraz gdy był już dorosłym człowiekiem. Na razie wszyscy byli zachwyceni przybyszem, zapraszano go wszędzie, był nawet upragnionym gościem, intrygowało tylko wszystkich to, że nie wiedzieli jakie stanowisko Stanisław zajmował w świecie. Dowiedziano się nakoniec, że jest literatem i z chwilą tą wszyscy odsunęli się od niego, zaczęto się litować nad nim, nad ciotką, nad przyszłym losem jego bo „literat to człowiek na wieczną nędzę skazany—to niebezpieczne indywiduum, bo literat nie ma przyszłości a nawet i pewności bytu." Ciotka wiele się tem zmartwiła lecz kuzynka innego była zdania a jako młoda i rozentuzyazmowana dzieweczka, która będąc nie bez wykształcenia, wysłuchawszy nadto dramatu napisanego przez Stanisława, zaczęła marzyć tylko o kuzynie i jego tryumfach. Od tej chwili najczęściej Helcia i Stanisław, spędzali dnie na rozmowie, czytywali razem poezye — prowadzili poważne a pouczające rozmowy i w Helci rozbudziło się serduszko. Miłość owładnęła nią. Zwróciła na to uwagę ciotka, która gorąco sobie życzyła aby Stanisław ożenił się z jej wychowanicą, z tego też względu przedstawiła mu rzecz całą żądając aby się z Helcią ożenił, lecz Stanisław oświadczył stanowczo, że z nią żenić się nie może bo nie ją lecz inną kocha!

Po tej rozmowie Stanisław wyjechał. W lat trzy później ciotka umarła całe swe mienie zapisując Helci, która za Stanisławem tęskniła kochając go szczerze.

Po śmierci ciotki Helcia zostawiona sobie samej, nie zaniedbując literatury do której zamiłowanie wszczepił Stanisław, oddała się gospodarstwu. Najulubieńszą jej lekturę stanowiły utwory Stanisława, te więc skupywała i te odczytywała po kilkakroć. O jej rękę jako panny względnie posażnej, starał się ten i ów, lecz każdy dostał odkosza. W lat trzy po śmierci ciotki znowu przybył do miasteczka Stanisław, który dopiero teraz dowiedział się o śmierci ciotki. Po krótkiej rozmowie z Helcią przyszedł do przekonania, że Helcia kochać go nie przestała, a gdy nadto z rąk starej sługi Karolowej otrzymał list ciotki pisany przed śmiercią, w którym błagała go, aby się ożenił z Helcią i to pod jej błogosławieństwem, oświadczył się o jej rękę. Pojąć łatwo, że był przyjęty. Stanisław jednak nie okazywał zbytniej radości, przeciwnie był nawet zamyślony i jakby smutny. Po ślubie, oddał się w zupełności pracom literackim, Helcia zaś zajęła się gospodarstwem. Od czasu do czasu wpływające honorarya wnosił do wspólnej kasy i dnie pożycia płynęły monotonnie. Wolnemi chwilami, wieczorami zaczynał rozmowy treści poważnej, naukowej lecz takowe teraz Helcię mniej zajmowały jak dawniej, ba! nawet nudziły ją, znajdując więcej rozrywki w arcy miłym maryaszu lub też praktykach religijnych do których usilnie starała się nakłonić męża. Jak wszędzie tak i tu w małem miasteczku, coraz głośniej krążyć poczęły niepochlebne wieści o Stanisławie i jego przeszłości. Pobożne kumoszki rządzące się zasadami „kochaj bliźniego jak siebie samego", odwiedzając Helenę, naturalnie pod nieobecność męża, wylewały potoki łez i słów nad zmarnowanem jej życiem i sprawiły nakoniec to, że biedna kobieta mimowolnie uczuła żal do męża i rozczulała się sama nad swym smutnym losem. Tymczasem Stanisław coraz bardziej stawał się posępnym, unikającym ludzi, a nawet i żony, z chwilą zaś w której urodziła się im córka, zamknął się w swoim pokoju i ze zdwojoną usilnością zajął się pracą, wiedząc że fundusze jakie posiadali już się wyczerpały i że nawet posag Helci naruszony został. Lecz praca nie wracała mu dobrego humoru, mizerniał, smutniał, aż wreszcie nadszedł dzień w którym Helcia po raz pierwszy od czasu jak się pobrali przyszła do męża żądając pieniędzy. Stanisław ze skwapliwością wielką, pomimo straszliwego osłabienia i rozstroju nerwowego, rzucił się do wykończenia manuskryptu i oto w dni parę otrzymał znaczne honoraryum, które na pewien czas byt zapewniało.

Stanisław uspokoił się, złagodniał, stał się nawet nadskakującym dla żony. Wracała ufność w własne siły, lecz czując się zmęczonym, żadnej nowej pracy nie rozpoczynał. Po długim odpoczynku zabrał się znowu do pracy, lecz ta szła mu oporem. Był tam obfity zapas słów, zdań, ale był brak myśli, uczucia, była technika lecz treści zabrakło. Czuł on to dobrze i znów zaczęła się powtarzać dawna historya. Natchnienie nie przychodzi na zawołanie. Prace Stanisława były coraz słabsze i bezbarwniejsze. I znowu zabrakło funduszów i znowu posłał manuskrypt do wydawcy, lecz ten z trzech przyjął tylko jeden, dwa inne zwrócił pod pozorem braku miejsca w piśmie przez niego wydawanem. Honoraryum przysłane było niewielkie. Co robić dalej? Była iskierka talentu i ta zgasła!—Po rozpaczliwej walce jaką stoczył w duszy ze swemi przekonaniami, aby zapewnić żonie i dziecku byt, korzystając ze śmierci sekretarza burmistrza, podał się na tę posadę i otrzymał ją. Objąwszy urzędowanie Stanisław pracował ciężko od świtu do nocy i w nocy w pracy nie ustawał; niedosyć tego, znosił różne upokorzenia pochodzące z głupoty a i w domu nie zaznawał spokoju. Owa słodka Helcia stała się teraz krzykliwą mieszczką, zaniedbaną w stroju i troszczącą się jedynie o potrzeby materyalne, o pokarm ciała. Pewnego dnia, gdy Stanisław w kancelaryi burmistrza zajęty był pracą, nadbiegł co żywo posłaniec i oddał mu bilecik, po przeczytaniu którego pan sekretarz z nagłym pośpiechem podążył do hotelu. Tam oczekiwali go tylko co przybyli goście: człowiek już niemłody i jego siostrzenica, którzy przed chwilą karetą pocztowemi końmi przybyli. Powitanie Stanisława z nieznajomą było milczące, bo w takich chwilach czyż mówić co można?

Wieczór cały spędził Stanisław w upojeniu, był szczęśliwy, nawet wuj nie psuł tej harmonii. Lecz nareszcie trzeba się było rozstać. Stanisław rano dopiero wrócił do domu, a nie zastawszy już żony tylko dziecko, wyszedł z mieszkania i znowu podążył ku hotelowi, gdzie się dowiedział, że nieznajoma nagle po jego odejściu rozchorowała się i że zaraz w nocy wyjechała z wujem. W trzy dni potem zdarzeniu, Stanisław z małym podróżnym kuferkiem, zostawiwszy na stole list pożegnalny do żony, wyjechał z miasteczka dążąc do najbliższej pocztowej stacyi. Przez ciąg roku opuszczona Helcia otrzymywała od męża co miesiąc przesełki pieniężne, które jednak po roku ustały i nadeszło urzędowe zawiadomienie o śmierci Stanisława.

Przez wdowę zaś uproszony znajomy pojechał na miejsce zgonu Stanisława i przywiózł prócz kilkuset rubli cały kuferek papierów, gazet i nekrologów sławiących talent i powodzenie zmarłego. Dzienniki rozpisywały się nad życiem jego na zapadłem Pokuciu, lecz nie dodały, że „zabłysnął raz jeszcze na horyzoncie literackim, tylko dzięki tej kobiecie, którą nad wszystko i wszystkich ukochał, i że dlatego zmarł tak wcześnie, gdyż czuł się wykolejonym, nieszczęśliwym, postawionym na rozdrożu pomiędzy obowiązkiem a pragnieniem szczęścia osobistego." Mogiłę Stanisława ozdobiła kolumna pod którą widziano często czarno ubraną kobietę — lecz nie była to Helcia.

Oto treść nowelli p. Ar. Gruszeckiego, nowelli napisanej gładko i z zajęciem czytać się dającej. Myśl przewodnia tej pracy uwydatniająca się już w samym tytule, przeprowadzona jest konsekwentnie i z wielką znajomością rzeczy, z wielką prawdą, że tak powiem z niemałą dozą realizmu. Zrozumieć jednak nie możemy dlaczego owa Helcia na razie przedstawiona jako panna dobrze wychowana, wykształcona, lubująca się w literaturze, w poezyi, umiejąca podtrzymać i prowadzić rozmowę naukową, poważną, nagle wyszedłszy za mąż, stała się małomiasteczkową gąską, dewotką, dbającą tylko o potrzeby materyalne, aby miała co zjeść i aby jej i dzięciątku na niczem nie zbywało? Rozumiemy i pojmujemy charakter Stanisława, którego talent wobec walki o byt codzienny, nie podtrzymywany miłością kobiety, równej wykształceniem, upadł i zmalał i dopiero w ostatniej niemal chwili podniecony widokiem prawdziwie kochanej i kochającej kobiety, odżył, lecz pojąć nie możemy charakteru Helci, która nibyto kochała męża swego, a jednak postępowaniem swojem zabiła w nim talent i stała się dłoń ową kulą uwiązaną u nóg galernika. Helcia jaką p. G. przedstawił, to: kobieta bez serca i bez duszy, a od takich kobiet chroń nas Boże! Z tem wszystkiem zaprzeczyć nie można, że nowella p. Gruszeckiego napisaną jest z talentem rokującym świetną przyszłość i pozwalającym już dziś witać nam w autorze „Wykolejony" i „Bohater" bardzo poczytnego pisarza, który przy gorliwej pracy, stanie niebawem może w szeregu dziś słynnych nowellistów naszych.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** **Jaka będzie nadchodząca zima?** W tym przedmiocie odbiera *San* od ks. F. Żaby list poniżej zamieszczony. Podając go redakcya „Sanu" przypomina, iż podobna przepowiednia tego samego badacza przyrody, umieszczona w roku zeszłym, spełniła się zupełnie: „Mówią i piszą, że nadchodząca zima ma być bardzo ostra. Czy to się sprawdzi, przewidzieć trudno. Ja zaś robiłem spostrzeżenia na mrówkach, które instynktowo dają niejaką wróżbę nadchodzącej zimy, więc z badania mrówek wypadałoby wnioskować, że nadchodząca zima będzie albo bardzo łagodna, albo będzie w ciągu niej taka ilość śniegu, że ziemia pod śniegiem nie zamarznie. Mrówki bowiem zakopały się na leże zimowe bardzo płytko, zaledwie na 1 do 2-ch centymetrów w zaciszu, a trochę głębiej na otwartem polu. Na mokrą zimę szukają mrówki pagórków, tego roku zaś zakopały się nawet na równych miejscach, jakby się nawet wiele wody ze śniegu nie obawiały. Zeszłego roku o tym czasie nie było można ani jednego robaczka pod wierzchem zobaczyć, gdy przeciwnie

znajduje się tego roku mnóztwo owadów, jak mrówek, pająków, chrząszczy już zupełnie wykształconych, dżdżowników i t. d. pod wierzchem, niektóre nawet tylko pod liściem lub zeschłą trawą. Więc według tych spostrzeżeń czynionych na owadach, nie ma powodu obawiać się ostrej zimy."

*** W istniejącym od lat trzech zakładzie naukowo-rzemieślniczym dla kobiet. p. Suchowieckiej (Nowy Świat Nr. 8) wciągu trzech upłynionych lat jego istnienia, wykładano naukę 13 zajęć. Oprócz zwykłych działów pracy kobiecej, uczono: introligatorstwa, heliominiatur, buchalteryi, ogrodnictwa, malowania na porcelanie i koronkarstwa. Według sprawozdania, najwięcej uczenic uczyło się kroju sukien i strojów damskich, szycia i robienia krawatów. To ostatnie zajęcie okazało się mniej daleko korzystnem od innych, gdyż z zupełnie uzdolnionych uczenic, mało bardzo znalazło zajęcie.

W ogóle w ciągu trzech lat 475 uczenic pobierało naukę w zakładzie, z tych ukończyło go 373, i tylko około 40 nie uzyskało chlebodajnego zajęcia. Najmniej korzystną okazała się nauka introligatorstwa, heliominiatur, rękawicznictwa i robienie krawatów. Szkoda że za mało uczenic zgłosiło się do nauki tak dziś modnych i drogo przepłacanych wyrobów szmuklerskich, a szczególniej zegarmistrzowstwa. A wszak to tak właściwe dla kobiet zajęcie! Nie mówiąc już o prowincyi, gdzie często na kilka mil dokoła nie ma zegarmistrza, lub co najwięcej jacyś starozakonni niemiłosiernie psujący powierzone im zegarki, i w Warszawie dotąd za najmniejszą reperacyą po kilka rs. płacić trzeba a nie znając się, nikt nie może ocenić rzeczywistej wartości roboty. Współzawodnictwo byłoby tu nader pożądane; posiadaczy zegarków uchroniłoby od wyzyskiwania, a pracownicom sumiennym zapewniłoby utrzymanie.

*** Z Lipnowskiego donoszą do „Nowin" że p. K., obywatel z Lipnowskiego, wyjednał od władzy pozwolenie założenia własnym kosztem szkółki; w majątku swoim. Nauczyciela sprowadził z zakładu nauczycielskiego w Skępem, wyznaczając mu odpowiednią pensyą i ordynaryą; przeznaczył na szkołę porządne i wygodne pomieszczenie, i zaopatrzył w niezbędne książki i przyrządy. Prenumeruje prócz tego „Zorzę" i sprowadza różne wydania Promyka. Dzięki temu, nietylko włościanie nie ponoszą żadnych kosztów na naukę swych dzieci, lecz jeszcze i sami mają sposobność nauczyć się czegoś i oświecić. Pani K. nagradza co miesiąc pilnie uczące się dzieci, czem zachęcona dziatwa gorliwie przykłada się do nauk i szybkie czyni postępy.

Oprócz założenia tej szkółki, tenże sam pan K. postanowił złożyć w Banku polskim sumę około 3,000 rs. przeznaczając procent na podtrzymanie szkoły w mieście Lipnie, założonej tam przed kilku łaty, lub też utworzyć z niej stypendyum na korzyść jednego z synów włościańskich powiatu Lipnowskiego.

Inny z obywateli tegoż powiatu p. R. ofiarował na wyż wspomnianą szkołę rs. 1000. Cześć zacnym obywatelom, tak dobrze pojmującym swoje posłannictwo.

*** W pierwszych dniach b. m. odbyło się w Toruniu walne zebranie członków *Towarzystwa Naukowego*, a następnie posiedzenie wydziału historycznego. Przewodniczył na obu prezes Towarzystwa, pan Ignacy Łyskowski. Na walnem zebraniu załatwiono bieżące sprawy administracyjne, a zarazem przewodniczący oznajmił że materyalny byt Towarzystwa jest zapewniony na lat kilka, gdyż znaczna liczba akcyonaryuszów „Muzeum w Toruniu" kupony od akcyj swych ofiarowała na rzecz Towarzystwa naukowego.

*** Donoszą z Krakowa iż plac około Rondla Floryańskiego ma odtąd nosić nazwę „placu Matejki". Plac ten dotyka do gmachu Akademii sztuk pięknych.

*** Pewien duchowny ze Żmujdzi podaje nader łatwy i wypróbowany sposób wynajdywania wody, który podobno niejednokrotnie już bywał zastosowany z powodzeniem.

Na ziemi oczyszczonej z trawy, rozkłada się skórę owczą, wełną do góry, i w środku jej, na wełnie, kładzie się świeże jajko kurze, poczem przykrywa się je nowym garnkiem glinianym. Doświadczenie to trzeba robić wieczorem, gdy ziemia jest z wierzchu sucha, zaś odjąć garnek dopiero nazajutrz rano, a jeżli wełna owcza i jajko pokryte są rosą, ma to być niezawodnym znakiem iż w miejscu tem znajduje się woda, blizko powierzchni ziemi. Jeżli jajko jest suche a tylko wełna pod garnkiem zroszoną została, woda znajduje się głęboko. Gdyby i wełna i jajko pozostały suche, w takim razie wody w miejscu tem nie ma wcale.

Za pewność sposobu tego nie ręczymy, ale jest tak prosty i łatwy iż może kto potrzebujący znaleźć wodę na swoim gruncie, zechce go wypróbować, a w razie sprawdzenia zawiadomić o tem przez pisma publiczne.

*** W San Francisco, przy ulicy Waschingtona, w nawpół zmurszałym domku, w mieszkaniu bez schodów do którego tylko po drabinie dostać się można, mieści się Redakcya chińskiej gazety. Lokator tego niewygodnego mieszkania, nasyconego okropnemi wyziewami, jest jednocześnie właścicielem, wydawcą, redaktorem, sprawozdawcą, zecerem, kontrolerem, preserem i stróżem gazety. Siedząc przy starym wywrotnym stole, penzlem umaczanym w czarnym tuszu, maluje na arkuszu papieru różne dziwaczne postacie. Są to znaki pisarskie chińskie, stanowiące artykuł do gazety. Redaktor ten i wydawca „Gazety Wschodniej" pan Yenn-Yenn ma lat 50, jest rodem z Kalifornii i pismo swoje wydaje już od sześciu lat. Jak wiadomo, alfabet chiński liczy podobno około 80,000 znaków pisarskich, pan redaktor zna ich *tylko* 8,000, ale dość to aby go czytelnicy zrozumieli. Gazeta wychodzi raz na tydzień w tysiącu exemplarzach, z których kilka idzie do Chin. Cena prenumeraty wynosi pięć dolarów rocznie; (6 rs.), numer pojedyńczy 40 centów. Materyału do gazety dostarczają pisma chińskie; ciekawych szczegółów z pism amerykańskich, angielskich i niemieckich, dostarcza mu jeden z jego przyjaciół, bo Yenn-Yenn sam nie zna żadnego obcego języka. Gazeta składa się z czterech stronic, każda po pięć szpalt. Na czele wypisany tytuł Wih-Kin, wypisany w pięciu znakach, poziomo po sobie idących. Z prawej strony tytułu zamieszczone objaśnienie, że pismo wychodzi teraz w czwartym miesiącu siódmego roku panowania cesarza *Owang-lis*, wypisane prostopadle. Z lewej strony tytułu mieści się prostopadły prospekt. Wszystko to zajmuje całą pierwszą kolumnę. Na drugiej stronicy artykuł wstępny i wiadomości z różnych okolic Państwa Niebieskiego. Redaktor obiecuje, że skoro tylko nastąpi olbrzymi wzrost prenumeraty, wtedy obowiązany powodzeniem postara się o telegramy własne z Pekinu i Nangasaki. Lokal redaktora Yenn-Yenn składa się z jednej izby, przedzielonej deskami na trzy części, z tych jedna przeznaczona jest do prywatnego użytku redaktora, druga na redakcyą, w trzeciej mieści się drukarnia. Urządzenie oddziału typograficznego jest bardzo proste: kwadratowy, gładko wypolerowany kamień i blat z grubej skóry, który przyciska się do kamienia za pomocą śruby, oto cały przyrząd drukarski. Arkusz papieru, formatu pisma, zapisany tuszem przez redaktora, położony na kamień pod blat skórzany, odbija się na tymże kamieniu i z tego robi się potrzebna liczba odbitek. Z jednego takiego kamienia można ich otrzymać około dwóch tysięcy. Dowodzi to, że litografia nie jest obcą Chińczykom.

Ile też u nas powstałoby pism, gdyby można było je zakładać i prowadzić tak małym kosztem!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Suknia z vêtement paletotowem. Uszyta z cienkiego, ciemnego sukienka, ma na spódnicy kilka marszczonych falbanek a vêtement formą paletotową zdobne wyszyciem z sutaszu i obłożeniem z krymskich baranków, podszewka z kolorowego atłasu pikowana w maszynie. Kapelusz miękki filcowy z wywiniętem z boków rondem opasany wstążką i zdobny piórami.

Ubranie małego chłopczyka. Sukieneczka fałdowana i długi kaftanik z granatowego sukienka, kołnierz, mankiety i bluza spodnia z jasnego kaszmiru. Kapelusz filcowy z pomponami.

Suknia z vêtement. Do spódnicy z ciemnej faille włożone vêtement pluszowe, którego plecy krajane na długość zwykłej baskiny dopełnione bufowanym brytem z tej co suknia materyi. Naszycie z szerokiej pletni. Kapotka pluszowa zdobna wyszyciem z sutaszu złotego i złoconemi piórami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Julii R. w Mohylowie Podolskim. Numer zagubiony powtórnie wysłano. Szanownemu Doktorowi wdzięczni za pamięć polecamy się nawzajem jego pamięci.

Pani I. D. W wierszykach nadesłanych znać łatwość układania ich ale treść zanadto ponura. Pragnienie śmierci niezgodne jest z naturą człowieka, jeżeli zaś zdarza się to jest spaczeniem umysłu, stanem chorobliwym wiodącym do samobójstwa. Szczęście także ludzkie na ziemi, nie jest bezwarunkową mrzonką, każdy je znaleźć może, w samym sobie, byle żądaniem nie przekraczał granic rozumu i poprzestawał na własnem zadowoleniu z dopełnienia obowiązków na niego włożonych. Kto te zasady wyrobi w sobie i rządzić się niemi będzie, z pewnością zdobędzie pogodę umysłu i własne z życia zadowolenie, co szczęściem godzi się nazwać.

P. Bronisławie K. w Dobrej Woli. Nadesłane wierszyki wszystkie będą wydrukowane.

Panu Zawieja. Artykulik bez tytułu nie jest wypracowany odpowiednio, aby mógł być drukowany.

Panu Teodorowi Andrzejowi. Wierszyk: „Nie oda do młodości", ma mnóstwo braków nie tyle w formie co w treści.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, rycina kolorowa oraz dla prenumeratorów na pocztę — Katalog księgarni Ludwika Polaka

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 3 Ноября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwsk. Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

— Ani słowa więcej, błagam cię! zawołał gotów do bezgranicznego poświęcenia,—byłoby to dla mnie zniewagą... Wiedz o tem że nigdy nie będziesz miéć tkliwszego i więcej oddanego ci przyjaciela. Poślubiając cię poślubiłem zarazem twoje cierpienia i smutki, i pragnę zatrzéć je w twej pamięci. Zaufaj mi, Klaro, od dziś jestem odpowiedzialny za szczęście twoje. Skoro przeszłość zgotowała ci zawód i rozczarowanie, spójrz śmiało w przyszłość i wszystkiego spodziewaj się od niej... Nie sądź abym chciał narzucać ci miłość moją — myśl taka nigdy nie powstała w umyśle moim. O to tylko cię proszę, abyś pozwoliła mi starać się pozyskać twe serce najtkliwszemi staraniami i zaparciem siebie—niczego więcej nie pragnę... Skoro potrzebujesz samotności i spokoju, pozostań tu swobodna i wolna jak byłaś dotąd. Ja odchodzę, wszak tego sobie życzysz? niech się stanie wola twoja.

Słowa te zarazem rozgniewały i zaniepokoiły Klarę! Właściciel kuźnic okazywał się tak dumnym i szlachetnym, że wszystkim obmyślonym przez nią uprzednio kombinacyom, zagrażał upokarzający upadek. Skoro Filip z taką dobrocią i delikatnością uprzedzał jej żądanie, czyż będzie mogła nieograniczenie przedłużać rozłączenie? Kochał ją, uwielbiał i pragnął próbować pozyskać jej serce—czyż więc podobna odpychać wiecznie człowieka tak prawego i szlachetnego, bez dopuszczenia się rażącej niesprawiedliwości i niemal okrucieństwa? Dobroć i tkliwe przywiązanie męża, już w następnym dniu uniemożliwić mogą opór, — zrozumiawszy grożące jej niebezpieczeństwo, postanowiła go uniknąć zrywając stanowczo łączące ją z nim węzły.

Widząc Klarę milczącą i nieruchomą, Filip zbliżył się do niej, i pochylając głowę dotknął ustami jej czoła, mówiąc: Do jutra!

Lecz w tej chwili gwałtowne miotające nim uczucie zapanowało nad nim; zapomniał przyrzeczeń, zapomniał o rozdrażnieniu i niepokoju szarpiącym serce żony, i namiętnym uściskiem przyciskając ją do serca, zawołał:

— Ach! gdybyś wiedziała jak bardzo cię kocham!...

Zaskoczona tak nagle, Klara posiniała, i wyrywając się odtrąciła go całą siłą.

— Precz! zawołała z gniewem.

Filip cofnął się w tej chwili, i patrząc na żonę drżącą i przerażoną, rzekł niepewnym głosem:

— Jakto! więc nawet czoła twego nie pozwalasz mi dotknąć ustami i odpychasz mnie ze wstrętem?... Cóż się z tobą dzieje?... Więc mnie nienawidzisz?... I czemu?... cóżem ci zawinił?... A! teraz stają mi na myśli słowa które powiedziałaś przed chwilą, i obawiam się że teraz dopiero pojmuję ich znaczenie... Może po zawodzie jakiego doznałaś nie sama tylko gorycz pozostała w twem sercu... może żal i...

— Panie! zawołała Klara.

Ale Filip za nadto był rozdrażniony; skutkiem wzburzenia krew uderzyła mu do twarzy, rzekł znowu prędko chodząc po pokoju:

— Pani, czcze zaprzeczenia do niczego nas nie doprowadzą — nadeszła chwila szczerych i zupełnych zwierzeń i wyjaśnień. Postawą i obejściem swojem budzisz pani we mnie podejrzenia które winnaś wytłomaczyć... Żona nie odtrąca męża bez powodu... postępowanie pani wnosić mi każe..

Nie dokończył; głos zamarł mu w gardle; zbladł nadzwyczajnie, ręce jego drżały nerwowym wstrząsane dreszczem. Odetchnął ciężko, i zwracając się ku żonie tak aby żaden ruch jej twarzy nie uszedł jego oka, zapytał:

— Czyżbyś pani kochała jeszcze tego człowieka co cię tak nikczemnie zdradził i opuścił?

Klara zrozumiała że w tej chwili nastręczała jej się tak gorąco upragniona sposobność zerwania stosunków z mężem — zawahała się jednak czy ma z niej skorzystać. Bała się Filipa tak strasznym uniesionego gniewem. Stała przed nim niepewna, wahająca, że zmarszczonemi brwiami, z gwałtownie bijącem sercem, pojmując dobrze że dalsze jej losy ważą się w tej chwili.

Milczenie jej przywiodło Filipa do ostateczności, silnie pochwycił ją za rękę, i patrząc na nią płonącemi gniewem oczami, zawołał:

— Słyszałaś pani?... odpowiadaj!... ja tak chcę!..

Silna ręka Filipa trzymająca dłoń Klary, wywołała skutek palca naciskającego cyngiel broni palnej — wybuch nastąpił. Dotknięta w swej dumie, oburzona gwałtownością, spojrzała śmiało na męża mówiąc:

— A gdyby tak było?

Zaledwie wymówiwszy, żałowała że to powiedziała. Zdawało się że wysoka postać Filipa olbrzymie jakieś przybrała rozmiary, a twarz straszny, przerażający wyraz.

Podniósł w górę rękę jakby ciężki młot do kucia żelaza, i zbliżając się do niej:

— Nieszczęsna! krzyknął.

Klara ani o krok się nie cofnęła; spuściła głowę, opuściła ręce, jak męczennica gotowa na śmierć. Filip popatrzył na nią, westchnął ciężko, machinalnie postąpił kilka kroków; z szalonym gniewem lewą ręką ścisnął prawicę swoją jak gdyby chciał ją zmiażdżyć za ruch który tak gorąco ukochana przez niego kobieta, za groźbę wziąść musiała. Po chwili rzekł spokojnie:

— Klaro, proszę cię rozważ dobrze wypowiedziane słowa, zastanów się nad ich znaczeniem... To coś mi powiedziała nie może być prawdą... to niepodobna!... chciałaś tylko mnie doświadczyć... Wszak prawda?... O! powiedz, nie obawiaj się, przebaczam ci naprzód, choć tak wielką sprawiłaś mi boleść... Nie godzi się grać z takiem sercem jak moje... sama poznasz kiedyś że to igraszka za okrutna...

Próbował się uśmiechnąć, ale usta jego pozostały zaciśnięte. Klara stała chmurna i nieruchoma, jakby głaz przykuty do miejsca.

— Ale przemów że do mnie! zawołał błagalnie; powiedz mi... milczysz?... a więc to prawda?...

Nie wymówiła ani słówka, poddawała się losowi jaki zgotowała sobie, z jakiemś nieokreślonem poczuciem że ciężkiej dopuszcza się winy, ale nieubłagana pycha popychała ją dalej na tej drodze. Filip, zrozpaczony podszedł do okna, i oparłszy o szybę rozpalone czoło, starał się uspokoić nieco i zapanować nad sobą. Pojmował dobrze iż straszna rozprawa z żoną nie skończyła się jeszcze, i chciał przekonać się jak dalece postanowiła posunąć swój zuchwały opór. Powrócił do niej.

— Tak więc, rzekł, przysięgałaś mi u stóp ołtarza, z sercem przepełnionem uczuciem dla innego... Kochasz go więc jeszcze pomimo całej nikczemności jego postępowania, pomimo zniewagi jaką ci wyrządził. I śmiesz mi to mówić!... Przyrzekłaś że będziesz dla mnie wierną i uczciwą żoną—i także to dotrzymujesz swego przyrzeczenia?... i rumieniec wstydu nie wystąpił na twoje czoło, gdy przed ołtarzem podawałaś mi rękę?.. Jakże to nizko upadłaś moralnie!...

— Wszak nie bronię się wcale, rzekła Klara, czyż więc jest szlachetnie kazać mi cierpiéć tyle?

— A czyż ja z twej przyczyny nie cierpię tak strasznie, ja co cię kocham wszystkiemi siłami mej duszy!... Ja co gotów byłem na wszelkie dla ciebie ofiary, nie żądając wzamian nic prócz trochę pobłażliwości i współczucia... I poświęciłaś mnie dla zadośćuczynienia swej obrażonej dumie, aby świat nie wiedział jak bardzo zostałaś w niej dotkniętą, a to rachując na bezgraniczną ufność i miłość moją, i zapewnie szydząc z mego zaślepienia... Czy zastanowiłaś się jak okrutnem i wstrętnem jest twoje postępowanie?

— Ach! czyż nie widzisz pan że od dwóch tygodni jestem jakby obłąkana! zawołała Klara nie mogąc dłużej zapanować nad sobą. Czyż nie chcesz zrozumiéć że obracam się w jakiemś zaczarowanem kole, z którego wydostać się nie mogę. Nieprzeparta jakaś fatalność popchnęła mnie do tego kroku — pojmuję że możesz pan uważać mnie za bardzo nikczemną istotę... ale jakkolwiel surowobyś mnie sądził, sama stokroć ostrzejszy wydaję na siebie wyrok. Czuję że zasłużyłam na twój gniew i wzgardę... i oddam chętnie wszystko wyjąwszy samej siebie... Rozrządzaj pan jak chcesz moim majątkiem, zrzekam się go na rzecz pana — niech stanowi okup za moją wolność!

— Twój majątek!... i to mnie, mnie go ofiarujesz!... zawołał Filip.

I oburzony już otwierał usta aby wyjawić jejową ruinę majątkową, którą z tak szlachetną delikatnością pragnął zataić. Jakże mógł się zemścić na tej wyniosłej i dumnej Klarze! a zemsta była tak pewną, prędką i straszną!.. ale odegnał tę myśl znajdując ją niegodną siebie. I uspokojony wewnętrznem zadowolnieniem, czując się o tyle wyższym moralnie od Klary, mógł spojrzéć na nią bez gniewu.

— Tak więc, rzekł zimno, uważasz mnie pani za człowieka zdolnego się sprzedać? sądzisz że zaślubiłem cię przez wyrachowanie? o! mylisz się, zdaje ci się, widać, że chodzi tu o księcia de Bligny.

Cios wymierzony nie chybił, Klara rzuciła się gwałtownie jak gdyby zniewaga wyrządzona księciu i do niej się odnosiła.

— Panie! zawołała, orzucając Filipa piorunującem spojrzeniem.

Ale zawstydzona, zamilkła w tej chwili.

— Czemuż nie kończysz pani coś chciała powiedzieć? rzekł z goryczą Filip. Bardzo słusznie, broń go pani, wszak należy mu się to od niej... Któż mógłby lepiej go ocenić od tej co tak dobrze naśladuje jego postępowanie!... Podstęp, fałsz i wyrachowanie — oto wasza zasada... O! teraz rozumiem. Chciałaś pani mieć męża ślepo zależnego od siebie, i dla tego wybrałaś takiego co cię kochał i ufał bez granic. Poślubienie mnie było mezaliansem, ale uległość i posłuszeństwo moje miało wynagrodzić nizkość urodzenia. A jeżlibym przypadkiem odważył się w czemś opierać i wykazać moje prawa, wiedziano czem zatkać mi usta... wszak wziąłem milionowy posag!... I rzeczywiście cóż mogłem odpowiedzieć, ja, mąż kobiety tak bogatej i tak wysokiego rodu! Ja istota tak marna i chciwa!... Oto co wyrachowałaś pani sobie!... I kiedyż mi to mówisz? zapewnie jakby najprostsza nakazywała uczciwość, choćby na godzinę przed ślubem — abym miał jeszcze czas do odrzucenia podobnego targu?... Bynajmniej! Wtedy dopiero dajesz mi to do zrozumienia, gdy już cofnąć się nie mogę, gdy wszystko skończone nieodwołalnie, gdy dałem się złapać w zastawione przez ciebie sidła, i nie potrzebujesz się obawiać że zdołam się z nich wywikłać i poszarpać je... A ja, zaślepiony, nie dostrzegłem zasadzki! byłem tak dobroduszny iż nie przypuszczałem nawet tak pięknie ukartowanej intrygi!... I przed chwilą szedłem tu nieśmiały i drżący, aby wyznać bezgraniczną miłość moją! Nie jestżem gorzej niż szaleńcem, gorzej niż śmiesznym? nie jestżem bezczelnym i wstrętnym?... Boć przecie wziąłem posag pani, jestem więc zapłacony, nie mam prawa skarżyć się ub praw jakichś dopominać!

I strasznym wybuchając śmiechem, rzucił się na kozetkę, ukrywając twarz w zaciśniętych dłoniach. Klara w milczeniu wysłuchała słów męża, więcej urażona wyrzutami niż wzruszona jego boleścią. Prawda zamiast oświecić, drażniła ją tylko. Nie zrozumiała strasznej boleści wiejącej ze słów Filipa, zauważyła tylko gorzkie ich szyderstwo.

— Dość tego! zawołała wyniośle, oszczędź mi pan bezużytecznego szyderstwa.

Filip prędko odjął ręce i rzekł ukazując twarz łzami zalaną:

— Ja nie szydzę, ja płaczę! płaczę nad zawiedzionemi nadziejami, nad straconem szczęściem! Ale precz z tą słabością!... Przed chwilą chciałaś pani kupić ode mnie wolność swoją — daję ci ją darmo, i możesz być pewną że nigdy jej nie zakłócę. Odtąd zerwane są wszelkie łączące nas węzły, nic z sobą nie będziem mieć wspólnego. Że jednak jawna separacya wywołałaby skandal którego dla obojga zarówno uniknąć pragnę, więc, choć obok siebie, żyć będziem rozłączeni. Pragnę aby wzajemny nasz stosunek żadnej nie podlegał wątpliwości, i dla tego proszę uważnie słuchać słów moich. Przyjdzie czas że poznasz pani całą prawdę, i dowiesz się że jesteś nietylko okrutną ale i niesprawiedliwą — wtedy może chciałabyś zmienić postępowanie swoje, ale uprzedzam zawczasu iż na nicby się to nie zdało. Gdybyś czołgając się u nóg moich błagała przebaczenia, nie miałbym dla ciebie ani słówka litości... Mógłbym gniew twój znieść pobłażliwie, ale nie potrafię zapomnieć zupełnego braku serca i nędznego samolubstwa. Żegnam panią! będziem żyć jak tego pragniesz — od tej chwili przestajesz istnieć dla mnie!

Klara milcząc potwierdzająco skinęła głową. Filip po raz ostatni spojrzał na nią ze ściśnionem sercem, spodziewając się że może w ostatniej jeszcze w chwili zachwieje się w swem postanowieniu, że odzyska ją wtedy właśnie gdy już miał utracić na zawsze. Ale stała zimna i nieczuła, nie patrząc na niego, nie mówiąc ani słowa.

Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi powoli i zamykał jakby z żalem, poczem zatrzymał się chwilkę nasłuchując czy słówko jakie, płacz lub choćby tylko westchnienie nie nastręczą mu pozoru, aby on upokorzony i dotknięty tak boleśnie, mógł powrócić, i póki czas jeszcze — przebaczyć — ale nic nie dosłyszał.

Wtedy zwracając się ku drzwiom po za któremi pozostała nieugięta Klara, rzekł do siebie:

— Dumna i samolubna istoto, nie chcesz się ugiąć, złamię pychę twoją!

I udał się do dawnego swego pokoju tąż samą drogą ktorą szedł przed chwilą upojony, pełen nadziei.

XII.

Płomienie lamp bardzo się obniżyły; ogień zagasł na kominku; wielki pokój został na wpół ciemny. Jakby przykuta do miejsca, Klara stała wsparta o kominek, starając się zebrać myśli. Wyszła zwycięzko z walki, a jednak czuła się tak znękaną jak gdyby poniosła porażkę. Ogarniała ją jakaś ciężka niemoc; głowa tak ciężała iż musiała podtrzymywać ją ręką. W uszach uczuwała ogłuszające dzwonienie; na co tylko spojrzała zdawało się wirować z niewysłowioną szybkością. Straszny zawrót panował w głowie; zimny pot występował na skronie. I stała tak bezwładna, jak nieprzytomna, blizka zemdlenia; cierpiała bardzo nie mając sił aby się poruszyć, nie chcąc przyzywać pomocy.

Dowlokłszy się nareszcie do szeslonga, rzuciła się na niego, ale nie mogąc doleżéć zerwała się niedługo. Nie mogła ustać, gdyż gwałtowny ból czuła w nogach; to znów trawiona gorączką, zaczynała biegać po pokoju, pomimo że głowa ciężała jej strasznie, i zdawała się jakby nabrzmiała i pusta. Nad lewem okiem czuła ból tak ostry, jakby jej gwóźdź wbijano w czoło. Krew gwałtownie krążyła w żyłach. Zgięta prawie we dwoje, jęcząc z bólu, biegała po pokoju jak obłąkana. Ciągle jednakie, wstrętne jej myśli mózg jej paliły; nie śpiąc, czuła jakby duszącą we śnie zmorę. Szeptała jakieś bezładne, niezrozumiałe słowa, przerywane strasznem dzwonieniem zębów.

Posępna, zacięta, przecierpiała tak długie dwie godziny, nie chcąc wołać o pomoc, z obawy aby gdy otworzy drzwi, mąż nie powrócił myśląc że pragnie go przeprosić. Jednak tak ufała w jego prawość, iż nawet ani pomyślała zamknąć zasuwki. Gwałtowna gorączka tak ją nagle zmieniła, iż gdyby Filip wszedł w tej chwili, tylko litość mogłaby w nim wzbudzić.

Już jutrzenka zaczynała świtać, a ona nie przestawała machinalnie chodzić po pokoju, aby tym ruchem przytłumiać coraz silniej dające się uczuć boleści. Teraz wlokła się zaledwie, blada jak śmierć, z błyszczącemi oczami; zdawało jej się że obręcz żelazna ściska jej skronie, w których czuła jakby uderzanie młotu. Siły ją opuszczały; zwróciła oczy na zaróżowione obłoki i chciała otworzyć okno, w nadziei że świeżość poranka ochłodzi ją i orzeźwi, ale omdlała ręka nie zdołała odsunąć rygla, krzyknęła i zemdlona padła na posadzkę.

Około dziewiątej rano, Brygida powoli i cichutko podeszła do drzwi, chcąc się dowiedzieć czy pani śpi jeszcze, a usłyszawszy głuchy jęk, otworzywszy drzwi weszła bez wahania. Klara leżała nieruchoma w miejscu gdzie upadła, mówiąc coś ciągle niezrozumiałym głosem. Głowa jej płonęła, twarz była czerwona, nogi zimne jak lód. Nie pytajac co mogło być powodem że pani Derblay leżała tak na ziemi nawet nie rozebrana, Brygida podniosła ją jak piórko, rozebrała i jak dziecko ułożyła w łóżku, i dopiero gdy widziała iż leżąc wygodnie uspokoiła się nieco, pobiegła do Filipa, który ubierał się w swoim pokoju.

Od pierwszego rzutu oka, spostrzegła że łóżko jego było rozebrane, widziała głęboki smutek wyryty w jego twarzy, i biorąc chustkę jego mokrą jeszcze od łez, zawołała:

— Panie mój kochany, cóż to za nieszczęście!... pan płaczesz, a ona...

Filip posiniał i zadrżał. Przyszło mu na myśl że Klara dopuściła się jakiegoś rozpaczliwego kroku i już nie żyje.

— Co się stało? wyszeptał z przerażającym niepokojem.

Brygida odgadła myśl jego.

— O nie! odpowiedziała, ale bardzo... słaba!

Filip nie pytając więcej, zapominając włożyć tużurek, jak szalony pobiegł do pokoju żony. Na kobiercu leżała ślubna jej suknia, pomięte spodniczki, maleńkie trzewiczki z wysokiemi obcasikami i biały atłasowy gorset — wszystko rozrucone bezładnie. Klara leżała na łóżku, twarz jej płonęła, na wpół przymknięte oczy błyszczały jak węgle. Wyrobieni w gobelinowym kobiercu rycerze, trzymający wzniesione do góry lance, zdawali się czuwać nad nią. Filip przysunął się — nie poznała go. Uśmiechała się słodko; z po za wybladłych ust, widać było białe ząbki. Wziął ją za rękę — była rozpalona. Jakieś otrętwienie zastąpiło teraz nocny niepokój i rozgorączkowanie. Przestraszony niewymownie, Filip napisał parę słów i wysłał natychmiast powóz do Besançon po najpierwszego doktora, i jednocześnie zawiadomił margrabinę.

Usiadł przy łożu Klary, w rozpaczliwych zatopiony myślach. Czyż wszystko miało się skończyć jej śmiercią? Leżała teraz nieruchoma z roztwartemi oczami. Czasami marszczyła brwi i z jękiem ręką przyciskała tył głowy. Widocznie bardzo cierpiała, gorączka postępowała gwałtownie.

Żal i gniew męża znikły w jednej chwili. Smutny ten widok uczynił Filipa przesądnym po raz pierwszy w życiu; myślał teraz iż jeżli Klara wyjdzie z tej choroby, będzie to znak że jeszcze oboje będą szczęśliwi, i odtąd myślał tylko o tem aby ją ocalić. Pomimo wszystkiego co przecierpiał przez nią, kochał ją szalenie; przesiedział teraz przy jej łożu boleści dwie najstraszniejsze w życiu swojem godziny, to też przybycie margrabiny i Oktawiusza, wielką przyniosło mu ulgę. Czuł że spada z niego część odpowiedzialności. Przerażona niewymownie, margrabina nie wydawała jednak głośnych łkań ani jęków, umiała cierpieć w cichości, i tylko delikatnie parę pytań zadała zięciowi, i blada i poważna pozostała przy córce, która ani się domyślała jej obecności. Oktawiusz trawiony niepokojem, wsiadł na konia i popędził naprzeciw doktora, który przybył nareszcie około południa.

Był to człowiek młody jeszcze, praktykujący dawniej w szpitalach, doskonale obeznany z wszelkiemi postępami i odkryciami medycznemi, mogący zatem wydać stanowczy sąd o chorobie. W tym ra-

zie nie przedstawiało to z resztą trudności; maligna, ból głowy, karku i niemoc same charakteryzowały chorobę. Zbadał puls, który uderzał 120 razy na minutę; termometr włożony pod pachę, wskazywał 40 stopni. Gorączka była gwałtowna, doktór kręcąc głową, wyszeptał:

— Stan niebezpieczny.

A widząc że matka, mąż i brat, zapytują go niespokojnem wejrzeniem, dodał:

— Zapalenie mózgu...

I pochyliwszy się na piersi Klary z których ciężki wydobywał się oddech, oskultował długo i starannie, poczem rzekł prostując się:

— Widać skutkiem nadzwyczajnego rozdrażnienia nerwów, serce jest nieco zaatakowane — trzeba natychmiast przynieść lodu i postawić dwanaście pijawek.

Zuzanna stojąca we drzwiach, skinęła na Brygidę która pobiegła prędko. Dobre dziewczę już od dwóch godzin czekała w salonie drżąca i niespokojna; nie śmiała wejść, ale domyślała się że zaszło cóś niepojętego. Wsunęła się powoli i stanęła cichutko za łóżkiem, nie odzywając się z obawy aby jej nie kazano odejść, i wpatrywała się z przerażeniem w zaczerwienioną twarz i zbielałe usta Klary. Zdawało jej się iż pomimo obszerności pokoju, było w nim nadzwyczaj duszno, nie pytając więc nikogo, wiedziona jedynie tym wrodzonym kobietom instynktem, dzięki któremu tak umieją doglądać i opiekować się choremi, na końcach palców podeszła do okna i otworzyła je. Doktór spojrzał na nią z pod oka, i rzekł uśmiechając się: dobrze. Filip tak wyłącznie zajęty był żoną, iż dotąd nie spostrzegł siostry, teraz spojrzał na nią z rozrzewnieniem i zalewając się łzami wyciągnął ku niej ręce. Łzy ich pomięszały się z sobą; pochylona na ramię brata, Zuzanna wyszeptała:

— Uspokój się, kochany bracie, zdołamy ją ocalić... oboje tak troskliwie czuwać będziem nad nią.

Ale Filip nie chciał aby siostra jego doglądała Klary, i dla tego wymógł na niej aby powróciła do klasztoru, błagając aby zrobiła dla niego to poświęcenie. Obawiał się aby nie słyszała tego co Klara mówiła w malignie. Nie przestawała mówić z gorączkowem ożywieniem, powtarzając nieustannie nazwisko księcia de Bligny. Przyzywała go z gniewem, srogie czyniła mu wyrzuty, ujawniając tem bolesną ranę jaką zadało jej sercu opuszczenie przez narzeczonego. W tych halucynacyach widywała także i Filipa, ale zawsze w groźnej postawie. Był uzbrojony, zabił księcia i jej zamierzał zadać cios śmiertelny. Widziała ręce jego krwią zbroczone i zaklinała aby jej także wydarł życie, żeby mogła jak najprędzej połączyć się z ukochanym.

Milczący i nieruchomy, Filip słuchał tych słów wypowiadanych w malignie, ale nie chciał aby je słyszała Zuzanna. Liczył jeszcze na przyszłość, i pragnął ukryć przed siostrą jak strasznie cierpiał. Miał nadzieję że bolesna teraźniejszość przeminie kiedyś jak przykry sen, i nie chciał aby tak smutne wspomnienie stawało jak cień między Zuzanną a Klarą.

Zuzanna płakała bardzo, ale ulegając jak zawsze woli brata, odjechała do Besançon w towarzystwie Brygidy;—tak więc Filip pozostał sam ze swą ukochaną chorą. Wiedząc jak niezmordowanie, umiejętnie i troskliwie od pierwszej zaraz chwili Filip czuwa nad Klarą, jak zaciętą walkę wypowiedział chorobie, margrabina zostawiła mu zupełną swobodę postępowania, całe dnie spędzała w pokoju córki, a gdy wieczór nadchodził siadał on w fotelu w nogach łóżka, i czuwał nad chorą przy słabym blasku nocnej lampki.

Maligna nie ustawała. Daremnie strugi krwi płynęły po jej białej szyi, skutkiem przystawionych pijawek — obłęd nie opuszczał osłabionego mózgu. Mijały dnie i noce, gorączka trwała coraz silniej oddziaływając na organizm. Twarz młodej kobiety wychudła, oczy się zapadły, niespokojnie rzucała się na łóżku, Osłabienie tak było wielkie, iż tylko niewyraźny szept z ust się wydobywał.

Jedna tylko zwięzła myśl tkwiła w mózgu Klary; rozumiała dobrze iż podczas gdy leżała przykuta do łoża boleści, książę poślubia Atenais. Niepojętem jasnowidzeniem, w dniu w którym rywalka jej wstępowała tryumfalnie na schody kościoła Św. Magdaleny, bogato przybrane kwiatami dzięki hojności pana Moulinet, w tejże godzinie gdy tłum cisnął się do kościoła dla ujrzenia oblubieńców, Klara na chwilę odzyskała przytomność. Odbłysk przytomności umysłu rozjaśnił jej oczy, podniosła głowę mówiąc wyraźnie:

— Oni w tej chwili biorą ślub, a ja umieram!

Margrabina przysunęła się prędko i zaczęła mówić do niej — ale nie chciała słuchać i znów przyszedł paroksyzm strasznej maligny. Zaczęła się zrywać krzycząc i załamując ręce, ciało jej było rozpalone jak węgiel, pot kroplisty spływał z czoła i włosów. Filip przerażony posłał po doktora, który jednak mógł przybyć dopiero wieczorem. Zmierzywszy gorączkę termometrem, przekonał się o znacznem jej powiększeniu. Temperatura ciała podniosła się—jeszcze choćby jeden stopień, a wszelka nadzieja stracona.

Straszny to był dzień dla Filipa—w śmiertelnym niepokoju oczekiwał przesilenia choroby; czuł że te jak wiek długie godziny, stanowiły zarazem i o jego życiu. W umyśle jego, znękanym znużeniem i zmartwieniem, tkwiła nieustannie myśl stanowcza jak nieodwołalny wyrok: „Jeźli wyjdzie z tej choroby, będziemy w końcu szczęśliwi!" i byłby chętnie częścią własnego życia, przedłużył życie umierającej.

Nadszedł wieczór, nie przynosząc jednak chwilowego uspokojenia jakiego zwykle doznawała pod noc. Biedna rzucała się na łóżku, brwi jej ściągnęły się, szczęki zacisnęły, rozpaczliwym głosem przyzywała księcia. Filip wstał, i sądząc że go nie widzi pochylił się nad nią. Otworzyła oczy i wlepiła je w niego z przerażeniem. Podniosła rękę z wysileniem, wołając głuchym głosem:

— Zabiłeś go! czemuż czekasz aby i mnie zamordować?

Zmęczony długiem nieustannem czuwaniem, znękany zmartwieniem i dotknięty boleśnie tak okrutnem zapoznaniem, Filip w tej chwili czuł się słabym jak dziecię. Oparł czoło o rzeźbioną kolumnę łóżka, i gorzkim zaniósł się płaczem. Łzy jego spadały kroplami na rozpalone czoło Klary, jakby dobroczynna rosa. Zdawało się że te łzy płynące z serca Filipa stały się jakimś wszechwładnym balsamem, gdyż twarz chorej wypogodziła się, westchnęła lekko i nasłuchując, uniosła głowę z wysileniem. Filip stojąc w cieniu i wiedząc że jest nieprzytomną nie przymuszał się, płakał, pierś jego głośnem podnosiła się łkaniem. W tem dłoń jej spoczęła na jego ręce, i jednocześnie wyszeptała słabym głosem:

— Kto tu płacze?... czy ty matko?

Filip podniósł głowę, a widząc że Klara patrzy na niego zbliżył się do niej. Chora go poznała,—i jak gdyby przypomniała sobie, bolesna chmurka zasępiła jej czoło. Łzy zabłysły w jej szeroko roztwartych oczach, wyciągnęła rękę do człowieka który z jej przyczyny cierpiał tak bardzo.

— Ach! to ty! rzekła... ty, zawsze szlachetny i pełen poświęcenia... Och! przebacz mi! Filipie, przebacz!

Padł na kolana i namiętnie ucałował te oczy, które pierwszy raz patrzyły na niego bez gniewu. Klara uśmiechnęła się smutnie, ale po chwili twarz jej ściągnęła się znów boleśnie odzyskując cierpki wyraz, maligna wróciła, znów szeptała słowa bez związku

Przez trzy tygodnie była między życiem a śmiercią — była to stanowcza kryzys. Od tej nocy choroba weszła w nową fazę—nieprzeparte otrętwienie zastąpiło gwałtowną gorączkę.

— Chorobliwa senność, rzekł spokojnie doktór. Dotąd robiło się co tylko jest możebnem aby uśpić panią Derblay. teraz czynić będzie co tylko można aby ją rozbudzić.

Filip zrozumiał że, z wyjątkiem recydywy lub jakiejś nieprzewidzianej przypadłości, Klara jest ocaloną, ale wraz z nadzieją jej wyzdrowienia, nasuwało się trudne zadanie jak ma teraz postępować. Dopokąd była w niebezpieczeństwie, myślał tylko o tem aby ją wydrzeć śmierci—teraz przyjdzie mu z życiem staczać o nią walkę.

Prawdopobnie wraz z odzyskaniem przytomności, wróci i wstręt jaki okazywała mu Klara. Zmęczona chorobą mogła się rozrzewnić, i w chwili jakiejś słabości prosić o przebaczenie, ale gdy siły powrócą, gdy będzie panią siebie, czy zechce okazać się pokorną i uległą?

Filip poznał dobrze wyniosły charakter żony, i lękał się powrotu jej nieubłaganej dumy. Dreszcz go przebiegał na samą myśl że mogłaby pomyśléć iż zechce skorzystać z jej powrotu do zdrowia, aby złamać układ zawarty owej pamiętnej nocy. Gdyby z ujmą własnej godności, sam starał się zniweczyć zobowiązanie jakie powziął wtedy, mógł upaść na zawsze w przekonaniu Klary. Uznał więc że należy mu trwać w swem surowem postanowieniu, i ufny w moc swego charakteru, pewnym był że zdoła tego dokonać. Przysiągł sobie że poskromi pychę żony, i gotował się do spełnienia przysięgi.

Było to w styczniu: zima była niezwykle ostra. Prace w kuźni, wstrzymane poczęści podczas ciężkiej choroby Klary, zaczęły iść zwykłym trybem. Odgłos uderzających młotów bawił teraz rekonwalescentkę. Zwolna i stopniowo wracała do zdrowia i z rozkoszą jakby nowe rozpoczynała życie. Z radością przypatrywała się wszystkiemu co ją otaczało. Podobał jej się teraz bardzo jej wielki pokój którego ściany pokrywały starożytne gobeliny; z przyjemnością przypatrywała się starożytnym meblom. Wszystko tu tchnęło taką harmonią i spokojem. Gobelin zdobiący ścianę naprzeciw jej łóżka, przedstawiał jakąś boginię z rozpuszczonemi włosami, z urną na ramieniu, z której płynąca woda rozlewała się po dolinie, tworząc rzekę. Zdawało się Klarze że piękna ta nimfa jest allegoryą, i że z tej uprzejmie pochylonej urny, wlewa w nią zdrowie i życie.

Przez wielkie, na park wychodzące okna, widziała jak lśniły od słońca drzewa jeszcze pokryte śniegiem. Jakby prosząc o schronienie, ptaki skrzydełkami uderzały o szyby; patrzyła na to z przyjemnością i kazała rzucać im chleb pokruszony. Wszystko ją zajmowało; siły wracały stopniowo i czuła z rozkoszą że odradza się fizycznie i moralnie. Tak jej dobrze było w domu. Leżąc na szeslongu, całe godziny przysłuchiwała się biegowi zegara, nie myśląc o niczem, i błogo jej było z tem lenistwem ducha.

Całe dnie spędzała sam na sam z matką; Filip teraz tylko dwa razy na dzień się pojawiał, to jest rano i wieczór. Najtroskliwiej wypytywał się o jej zdrowie, zapytywał czy nie życzy sobie czegoś i zabawiwszy kilka minut, odchodził poważny. Klara słuchała odgłosu kroków jego niknących w dalszych pokojach; oczekiwała niecierpliwie jego odwiedzin, uważała że za krótko u niej bawi, co już gniewać ją zaczynało.

Raz nadarzyła jej się sposobność rozgrymaszenia się, i skorzystała z niej jakby rozpieszczone dziecko. Zachciało jej się mieć świeże kwiaty w swoim pokoju — cieplarnie w Beaulien bogato były w nie zaopatrzone. Pewnego dnia margrabina przywiozła jej wielki bukiet prześlicznego białego bzu; Filip wszedł do pokoju właśnie w chwili gdy Klara wąchała z rozkoszą woniejące kwiaty. Przestrzegał delikatnie że silna woń bzu może jej zaszkodzić i sprowadzić zawrót głowy, i biorąc bukiet chciał wynieść go do salonu.

— Ależ upewniam że czuję się zupełnie dobrze, rzekła unosząc się, mógłbyś śmiało zostawić mi te kwiaty...

— Jak w ogóle osoby wracające do zdrowia, tak i ty za wiele liczysz na siły swoje, odrzekł z uśmiechem... ale my musimy czuwać nad tobą.

— Widać mam się zupełnie dobrze skoro nie wahasz się sprzeciwiać mi się, odrzekła niby z zagniewaną ale bardzo zalotną minką. Gdy byłam na prawdę chora, byłeś zupełnie inny.

W jednej chwili Filip spoważniał bardzo, i nie odpowiadając orzucił tylko Klarę smutnem i surowem spojrzeniem. Westchnęła i rzekła zmienionym głosem:

— Masz słuszność, odnieś te kwiaty. Dziękuję ci.

Cały ten dzień potem bardzo była zamyślona.

Powoli odzyskała władzę zastanawiania się i myślenia; w silniejszym obecnie mózgu budziło się wspomnienie przeszłości. Zaczęła rozważać i badać samą siebie, i przekonała się z niemałem zadziwieniem że w sercu jej nie pozostało ani śladu miłości dla księcia. Uczucie to odpadło jak zepsuty owoc od gałęzi. Nawet do Atenais żadnej teraz nie czuła nienawiści, owszem litowała się nad nią że całe życie dręczyć ją będzie nieuleczona zawiść. Nie zytała ani o nią ani o księcia; pewna była że są już po ślubie. Unikano starannie wspominać przy niej nazwiska de Bligny — ale była to przezorność zbyteczna, mogła je słyszeć spokojnie. Serce jej całkiem się przeobraziło.

Siły jej bardzo powolnie wracały; kiedy pierwszy raz chciała się podnieść, zemdlała i musiała znów się położyć. Zaniepokojony, Filip znów zasiadł przy jej łóżku, i poważny i milczący i teraz jak pierwiej najtkliwszą otoczył ją opieką. Ciągle cierpiała mocny ból w głowie i w czole, co zdawało się dowodzić jakiegoś zaburzenia w błonie mózgowej. Skarżyła się że jak tylko poruszy głową czuje iż coś rusza się w jej mózgu, jakby uderzając w dzwonek.

— Już przed chorobą byłam jakby niespełna rozumu, cóż to dopiero teraz będzie, mówiła uśmiechając się.

Właśnie pięć miesięcy upłynęło od dnia ślubu, gdy po raz pierwszy mogła zejść do ogrodu, w piękny kwietniowy poranek, podtrzymywana przez matkę i Brygidę. Obeszła powoli do koła wody, odpoczywając co chwila na kamiennych, ogrzanych słońcem ławeczkach.

Patrząc tak na nią powolnie stawiającą krok za krokiem, któż poznałby ową dumną, wyniosłą dziewicę, o której własna matka mawiała żartem: „miał przyjść na świat chłopiec, kogut zapiał i urodziła się dziewczyna.” Rysy twarzy złagodniały, oczy milszym jaśniały blaskiem. Nabrała prawdziwie niewieściego wdzięku; a że teraz nie trzymała głowy dumnie podniesionej w górę, więc wydawała się trochę niższą.

Od tej chwili zachowanie się Filipa pozostawało niezmiennem. W obec obcych, był dla niej nadzwyczaj miły, uprzejmy, uprzedzający, gdy zaś byli sami, stawał się zimno grzeczny i poważny. Umiał tak zręcznie obrachować swoje postępowanie iż powszechnie uważano go za wzór mężów. Margrabina nie domyślała się niczego. Nawykła do spokojnej i że tak powiem *poprawnej galanteryi* mężów wielkiego świata, żaś margrabia de Beaulieu nie popsuł ją wcale zbytnią czułością, uważała że pożycie młodego małżeństwa nic nie zostawia do życzenia, i pod tym względem czuła się wolną od wszelkiej nad nimi opieki. Gdy więc Klara odzyskała zdrowie, pewnego dnia oznajmiła córce i zięciowi iż wyjeżdża do Paryża, gdzie Oktawiusz zamieszkał od stycznia. Wierny swoim zasadom o równości, młody margrabia odłożył na bok swoje herby i tytuły i postanowił zostać adwokatem.

Klara sama pozostała z mężem—ale widywała go tylko przy obiedzie; potem odprowadzał ją do salonu, tam zabawiwszy z pięć minut, mówił jej dobry wieczór i odchodził do swego gabinetu. Pewnego wieczora wzięła ją ciekawość zobaczyć co tam robi; okryła się dużą zarzutką i wyszła do parku zajrzeć przez okno. Przez zasłonięte okno oświeconego pokoju, widziała cień jego jak chodził tam i napowrót, a gra światła czyniła go kolosalnie wysokim. Chodził powoli nie zatrzymując się, i zdawał się zamyślony. Klara wróciła do pałacu i weszła cichutko do pokoju stykającego się z jego gabinetem. Usiadła i po ciemku wpatrywała się, w świetlaną smugę wysuwającą się z pode drzwi, słuchając regularnych kroków Filipa, głucho odbijających się o gruby kobierzec zaścielający posadzkę. Chodził tak bez ustanku aż do północy; nareszcie gdy zamilkł ostatni dźwięk wydzwaniającego ją zegara, usłyszała jak otworzył drzwi do swego sypialnego pokoju—i smuga światła znikła.

I o czem rozmyślał chodząc tak prawie bezwiednie? jakim oddawał się myślom podczas tych długich samotnych godzin?... Cóżby nie dała Klara żeby mogła się tego dowiedzieć!

Kobieta z jej usposobieniem, nie mogłaby wytrzymać długo aby nie spróbować zadowolnić swej ciekawości; to też gdy pewnego wieczora Filip miał odchodzić, zapytała go:

— Co robisz tak późno w nocy, sam jeden i zamknięty?

— Reguluję zaległe rachunki, odrzekł spokojnie,—i oto właśnie mam oddać ci pieniądzie, dodał, wyjmując z kieszeni grubą paczkę banknotów.

— Pieniądze? zawołała z zadziwieniem—pieniądze dla mnie?...

— Jest to półroczny procent od twego majątku... I kładąc je na stole, dodał zimno:

— Proszę chciej przeliczyć aby się przekonać że jest cała summa.

Klara cofnęła się o krok; krew gwałtownie uderzyła jej do twarzy, ręce drżały, serce ścisnęło się boleśnie:

— Weź pan je, zawołała... zabierz te pieniądze, proszę... nie mogę ich przyjąć...

— A jednak weźmiesz je pani, odrzekł stanowczo, i pogardliwym ruchem popchnął ku niej banknoty.

Wyprostowała się, gotowa do walki; ruch ten i ton mowy Filipa dotknęły ją nader boleśnie. Oczy jej zaiskrzyły się; w tej chwili stała się znów dawną wyniosłą i gwałtowną Klarą.

— Ja nie chcę! zaczęła, śmiało patrząc na męża.

— Nie chcesz? powtórzył z głuchem szyderstwem.

Skrzyżowały się ich spojrzenia. W oczach Filipa odbijała się taka prawość, moc i potęga woli, że Klara spuściła swoje. Opór jej znikł w jednej chwili, ręka którą chciała odtrącić pieniądze, opadła bezwładnie, i zwyciężona zachowała bolesne milczenie. Filip skłonił się i wyszedł nie mówiąc ani słowa.

Tak więc wola Klary rozbiła się o wolę Filipa—wyszła z tej walki złamana i pokonana. Zmuszona uznać wyższość charakteru męża, gniewała się i cieszyła tem zarazem. Powzięła dla niego jak najgłębszy szacunek, i pociągnięta dzielnością charakteru i siłą woli, zaczęła badać go starannie. Rozrzewniona swoim powrotem do zdrowia i życia, postanowiła sobie być dobrą dla Filipa i szczerą mieć dla niego przyjaźń. Teraz przekonywała się z przykrością, że chciała dać więcej niż tego od niej żądano. Gdy ona gotowa była posunąć się aż do przyjaźni, mąż nie myślał przekroczyć granic obojętności. I nie dąsał się nawet — bo wtedy można-by jeszcze było coś poradzić. Nie zajmował się nią zupełnie, zostawiając najzupełniejszą swobodę, jak tego żądała. Sam okazywał jej tylko lodowatą obojętność. Dotknięta tem pogardliwem jego zachowaniem się, Klara postanowiła wystąpić z nim do walki. Będąc bardzo wojowniczego ducha—zawsze potrzebowała pokonywać jakieś trudności.

Ilekroć Bachelin był na obiedzie w Pont-Avesnes, Filip spędzał wieczór w salonie. Klara zapraszała zawsze notaryusza dwa razy na tydzień. Nauczyła się grać w wista, i jakby jaka poważna wdowa zasiadała z nimi do kart. W obec Bachelina, Filip grał i rozmawiał, lecz gdy tylko tenże wyszedł, stawał się zaraz surowym i milczącym. Pomimo wszelkich usiłowań, Klara nie miała żadnego wpływu na wolę męża.

To niezachwiane panowanie nad sobą Filipa, do najwyższego stopnia niecierpliwiło Klarę; będąc sama w swoim pokoju gwałtownym unosiła się gniewem. Dreszcz ją przebiegał na samą myśl że człowiek ten zapanował nad nią i był jej panem. Kierował nią jak chciał, a gdy próbowała się buntować, jednem spojrzeniem przywodził ją do posłuszeństwa. Widziała go zawsze zimnym i twardym, jak żelazo kute w jego kuźniach. Wykuwał jej charakter i niewątpliwie potrafi nadać mu formę jakiej żąda. Czując swą bezsilność, płakała ze wstydu, i tylko resztka dumy dodawała jej sił do ukrywania przed Filipem przebywanych męczarni. I dla tego pokazywała się taką jak być powinna — zrezygnowaną bez goryczy, i bez sztywności szanującą swą godność.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 45.

(Dokończenie).

N. 22. Suk:enka z vêtement, dla młodej panienki.

Spódniczka składa się z dwóch plisowanych falban, u dołu na 10 cent. wzdłuż rozsuwających się gładko i odzierganych w ząbki. Vêtement z przodu podpięte à panier, z tyłu ma krótki bryt prosty podpięty w bufę. Kołnierz koronkowy. Ubranie to może być uszyte z batystu, satynki lub cienkiego wełnianego materyału.

N. 23. Suknia à panier.

Uszyta z miękkiego wełnianego materyału, ma spódnicę całą zaplisowaną, ogarnirowaną riuszą atłasową. Stanik bawetowy dopełniony częściami à panier, przepasany wązką szarfą aksamitną ma wykrój podłużny dopełniony wykładanym kołnierzem aksamitnym i takież ranwersy przy rękawach.

N. 27—28. Poduszka w pasy, robotą ażurową (punto tirato). Patrz ryc. 21 w N-rze 44.

Tego rodzaju kratki ażurowe były bardzo w użyciu w piętnastym i szesnatym wieku; szlaczek jaki przedstawia r. 27 może służyć także do serwet, firanek lub t. p. Potrzeba najpierw przygotować tło pod taką robotę wyciągając w kratkę po trzy nitki, poczem deseń wywodzi się nitką dwa razy grubszą od nitek tła w sposób wskazany dokładnie na ryc. 21 w N. 44; kierunek strzałki oznacza przeprowadzenie igły. Kratki stanowiące tło między deseniem obrzucają się ponsową pelą, także podług r. 21. Poduszka, jaką daliśmy na ryc. 28 liczy 58 c. długości a 43 szerokości; pasy robotą ażurową wykończone są oddzielnie a potem wszyte w poduszkę; na tle między pasami dany rzucik ponsowy.

N. 29—30. Staniczek na gorset. Krój na arkuszu N. IV, fig. 24—25.

Zakładki dane wzdłuż przodów i pleców muszą być najpierw zastębnowane w materyale, poczem dopiero dopasowywa się formę, na wcięciu stanu podszyta listewka do wsunięcia tasiemki; wykroj górny i pachy ostębnowane wstążką i zakładkami.



N. 1 Płaszczyk z podpinanym tylnym brytem. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 93.

N. 2. Suknia z bawetowym stanikiem. Patrz ryc. 4—5 i fig. 93.

Opis do N-ru 46.

N. 1 i 27. Ubranie spacerowe. Płaszczyk z podpiętym brytem tylnym. Forma na arkuszu z krojami N. XVII, fig. 92.

Zarówno jedwabne jak i miękkie, wełniane materyały służyć mogą na płaszczyk, który podszywa się lekkim futrem albo podszewką jedwabną, podwatowaną i pikowaną w sposob wskazany na ryc. 13—15. Proste rękawy wszywa się od dwukropka do gwiazdki między szew łączący przody z plecami, te ostatnie zeszywają się w środku tylko na 70 cent. długości. Zeszycie peleryny podfałdowanej u dołu, przykrywa górna część draperyi e w podwójną kontrafałdę złożona i przystębnowana na pelerynie, pod którą daje się podszewkę bez waty. Wystająca poniżej kontrafałdy część draperyi jest z jednego boku w pukiel do spodu złożona i przyczepiona, z drugiej szerzej przypuszczonej strony w górze w fałdki pod spód zachodzące zaszyta, a z boku także w pukiel podpięta. Ryc. 1 przedstawia płaszczyk z ciężkiego jedwabnego, adamaszku, okładany pluszem przerabianym w paski, a ryc. 27 przedstawia z tyłu takiż płaszczyk ozdobiony obłożeniem z piór i sznurami jedwabnemi z pomponami sznelowemi.

N. 2, 4 i 5. Ubranie ze stanikiem bawetowym. Deseń do wyszycia sutaszem na arkuszu z krojami, fig. 97 i 98, a deseń pomniejszony na ryc. 4 i 5.

Suknia z faille koloru bronzowego, ubrana jest ciemniejszym aksamitem, wyszywanym sutaszem. Spódnica oszyta u dołu szeroką w kontrafałdy układaną falbaną, nad którą z przodu i z boków dana część druga w kontrafałdy ułożona a w odstępach między niemi naszyta aksamitem wyszytym sutaszem i złożonym u dołu w pukiel wystający. Nad kontrafałdami dodana draperya, przyszyta odwracanym szwem na spódnicy, a w górze sfałdowana i w pasek wszyta, z tyłu dopełniona brytem długim, w draperyę podpiętym.

N. 20—21 i ryc. 10 w N-rze 47. Serweta ozdobiona haftem tureckiem.

Na ryc. 21 dajemy próbkę haftu łatwego i ładnie wyglądającego, który robi się na kanwie nicianej albo na bardzo grubem płótnie, włóczkami albo kordonkowemi jedwabiami, lecz haft musi zupełnie tło pokrywać. Ryc. 10 w N-rze 47 przedstawia trochę powiększoną próbkę roboty w której ścieg każdy zajmuje dwie nitki na wysokość a jedną na szerokość. Robotę wykonywa się w rzędach idących tam i napowrót, których dwa stanowi dopiero całość ściegu, układającego się w plecionkę. Ryc. 21 przedstawia w naturalnej wielkości narożnik szlaku robionego włóczką hamburgską, a ryc. 10 w N-rze 47 powiększoną próbkę roboty: dalszy ciąg deseniu trzeba podług ryc. 20 układać. Na modelu szlaczek brzeżny robiony był kolorem czarnym, żółtym i czerwonym (pompejańskim), w szlaku środkowym tło jest żółte, narożne figury białe i bronzowe, a dalsze bronzowe z ponsowem i niebieskiem, w górnej części deseniu użyte kolory wyżej wyliczone z dodaniem lila i oliwkowego, a tło zarobione pompejańskim. W wązkim szlaczku górnym linije brzeżne są czarne a środek biały z ponsowym. Tło serwety było z pluszu oliwkowego a pompony z włóczek w kolorach szlaku przyczepione były do torsadki oliwkowej, robionej na widełkach.

N. 24 i 25. Serweta siatkowa z wyszyciem kolorowem. Desenie rzuciku i próbka frendzli na arkuszu z krojami fig. 44—45c.

Model serwety siatkowej miał tło popielate jedwabne a wyszycie różnokolorowe, ryc. 25 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę siatki i część wyszycia szlaku, deseń środkowy, narożnik i rzucik na arkuszu z krojami fig. 45*a* do 45*b*. Model trzymający 57 cent. w kwadrat liczył 179 dziurek wzdłuż i wszerz: robiąc siatkę rzadszą na grubszym wałeczku, będzie serweta większa. Kontury deseniu, wysmukłe arabeskowe figury i gałązki wyszywa się kordonkiem tej co tło grubości, a środki figur zapełnia się pelą. Kolory mogą być dowolnie dobrane, na modelu kontury i arabeski wyszyte były kordonkiem ciemno żółtym, a środki zapełnione pelą w kilku cieniach oliwkowych, kolorem różowym, niebieskim, bordo, jasno popielatym i zielonym. W gwiaździe środkowej w miejsce ptaka wyszyć można monogram złotem. Koronkę robioną na klockach, której próbkę dajemy na fig. 44, zastąpić może koronka szydełkowa albo frendzla jedwabna.

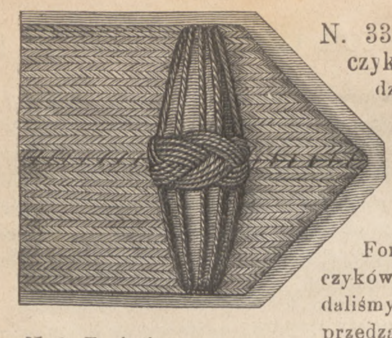
N. 26 i 38. Paletocik z peleryną wcinaną do figury. Krój i deseń wyszycia na arkuszu z formami N. III, fig. 10—17.

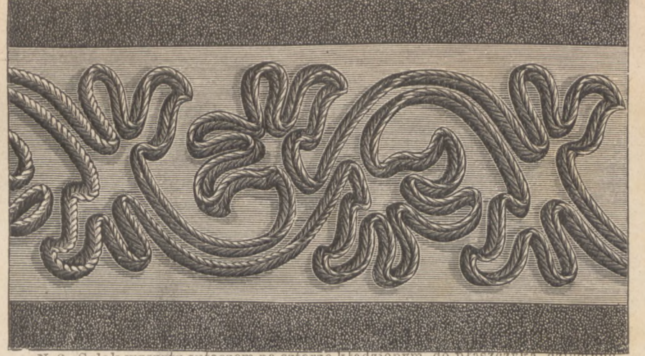
Model odrobiony był z sukienka bronzowego na podszewce jedwabnej, a w zaszewki na piersiach i szwy boczne wsunięte były fiszbiny. Piękne wyszycie złożone z figur stopniowanej wielkości robi się oddzielnie na sztywnym papierze, dwoma sznureczkami jedwabnemi jednakiej grubości, lecz odmiennie kręconemi. Na fig. 17 dajemy deseń jednej z większych figur weszycia, od którego przy przodach przechodzą podwójne grube sznury jedwabne, zapinane na długie baryłkowe, szmuklerskie guziki.

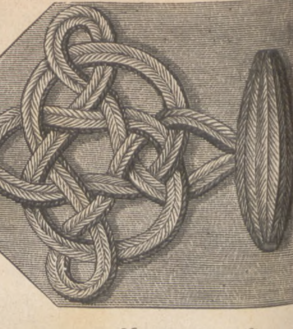
N. 28. Stolik do szycia z przykryciem ozdobionem aplikacyą. Probka wyszycia na ryc. 11 w N. 47, deseń na arkuszu z krojami, fig. 96.

N. 31—32. Poduszka do kanapy. Robota zdzierana na skórze. Deseń na fig. 41.

Poduszkę skośnie na dwa trójkąty przedzieloną zdobi robota zdzierana na safianie kolorowym, którą już w roku przeszłym parę razy opisywaliśmy szczegółowo. Dziś powtórzymy jeszcze że deseń rysuje się na safianie, który następnie odwilża się z lewej strony, kontury przecina się ostrym scezorykiem tak ostrożnie żeby tylko zwierzchnią powłokę przekroić, którą się następnie zdziera. Na ryc. 31 oba trójkąty są ze skóry jednakowym deseniem ozdobione; tylko w górnym deseń ma powłokę zdzieraną a tło pozostaje kolorowe, a w dolnym całe tło jest zdarte a deseń pozostaje pokryty. W koło brzegów do płótna pokrywającego wysłanie poduszki, przyszywa się pasek pluszu, na który zachodzi w ząbki wycięte pokrycie safianowe, przyczepiane do pluszu pomponami. Na rogach daje się większe pompony. Plusz i pompony najlepiej dobierać w ciemniejszym lub jaśniejszym cieniu, tego co safian koloru.

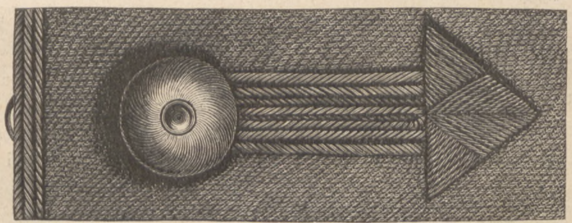

N. 6. Zapięcie z szerokiej pletni i podłużnego guzika do paletota, sukni i t. p.


N. 3. Szlak wyszyty sutaszem na sztorze kładzionym do płaszczyka dziecinnego r. 33. Deseń na arkuszu z krojami, fig. 99—100.

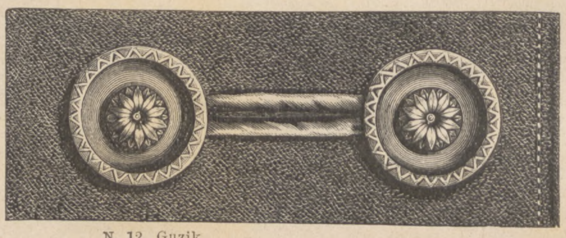

N. 7. Agrafka ze sznura do okryć, sukni i t. p.

N. 33 i ryc. 3. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3 do 5. Desenie do wyszycia sutaszem na fig. 99—100.

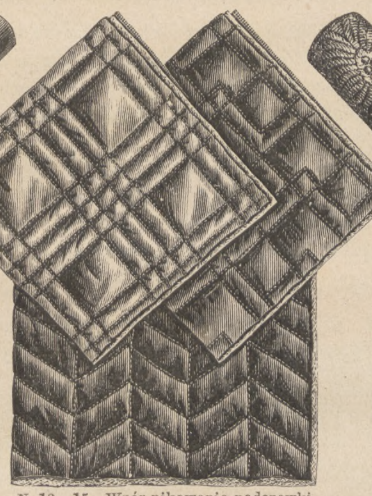
Formy różnych płaszczyków dziecinnych podaliśmy kilka razy na poprzedzających arkuszach z krojami, dziś zwracamy uwagę na ładne wykończenie. Model był odrobiony z sukna ciemno piaskowego, brzegi zdobiło kilka rzędów stębnówki a pelerynkę szlak wyszyty sutaszem bronzowym, do którego wzór dajemy na ryc. 3. Guziki kamienne w kształcie kulek.


N. 8. Ozdobne zapięcie do paletota i t. p.

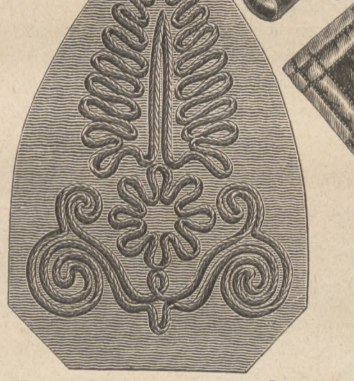

N. 10. Guzik do okrycia.

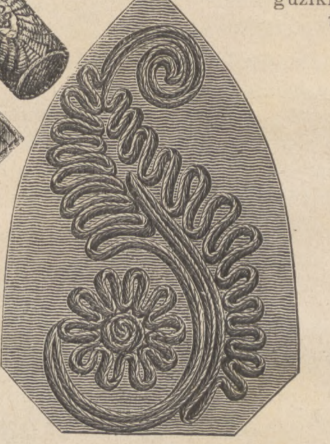

N. 9. Zapięcie na dwa guziki, z dziurką oszytą atłasem.


N. 11. Guzik stalowy.


N. 13—15. Wzór pikowania podszewki pod okrycie.


N. 12. Guzik szmuklerski.

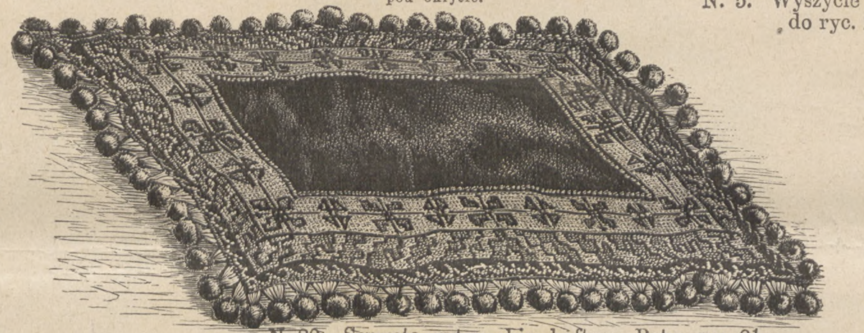

N. 4. Wyszycie sutaszem do r. 2.


N. 5. Wyszycie sutaszem do ryc. 2.

N. 35 i ryc. 32 i 64 w N. 47. Ubranie z vêtement. Krój na arkuszu z formami N. I, fig. 1—5.

Vêtement zapinane z przodu do długości baskiny, na małe, gęsto przyszyte guziczki w kształcie kulek przyozdobione jest w oryginalny i niezwykły sposób rzędami jedwabnych pomponów mających 5 c. średnicy, a z przodu wyłogami aksamitnemi, spiczasto wpuszczonemi między zaszewkę na piersiach. Formę tego garnirunku podajemy na fig. 2, oraz na małem modelu fig. 1a do 4a. Komu to oryginalne przybranie się nie podoba, może przykroić przody z dwoma zaszewkami, których formę dajemy na fig. 1A do których u dołu od B do C przyszywa się gładko części baskiny oznaczone linijką i napisem, na fig. 2. Pod te części baskiny trzeba dać jedwabną podszewkę, a w stanik wszyć plomby ołowiane obciągające go na dół. Boczki podane na fig. 3, trzeba podług znaków przyfałdować i pod pleckami od H do H zeszyć. U dołu także boczki schodzą się ze sobą, a szerokie do pleców przypuszczone bryty suto odstają; brzeg ich górny fałduje się ściśle i na wierzchu pleców szwem odwróconym przyszywa Na prostym, 5 c. szerokim pasku przy wykroju szyi naszyty jest rząd pomponów; na rękawach ozdobionych gładkiem, 8 c. szerokim obłożeniem i wązkim aksamitnym ranwersem, naszyte są na zwierzchnim szwie pompony. Na obrębie spódnicy naszyta 8 cent. szeroka, w kontrafałdy ułożona falbana, nad którą dana 84 cent. długa część ubrania w górze kilka razy przemarszczona, u dołu oszyta listwą aksamitną 16 cent. szeroką nad którą w odległości 5 cent. przewleczony sznur bardzo gruby aksamitem oszyty i w ten sposób ściągnięty iż garnirunek układa się w kontrafałdy. Do przewleczenia sznura daje się dziurki naprzemian w odstępach 7 i 2 cent. Na modelu suknia ciemno bronzowa kaszmirowa, ubrana była aksamitem i pomponami takiego samego koloru.


N. 16. Rozeta szmuklerska do okrycé.


N. 20. Serweta z tureckim haftem. Patrz ryc. 21.

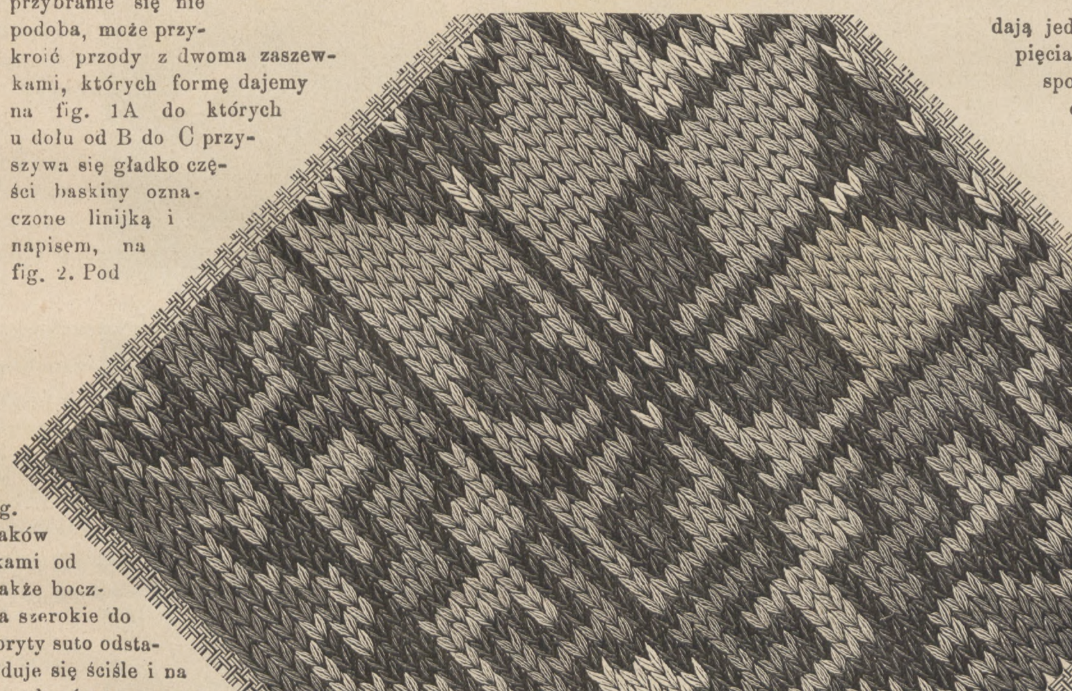

N. 17. Rozeta szmuklerska do okrycé.

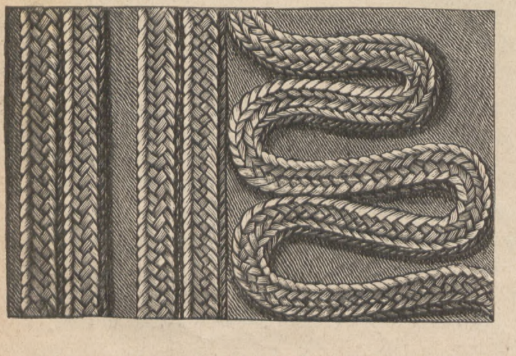
N. 36. Płaszczyk dla dam starszych. Krój N. II, fig. 6—9.

Zaszewkę przeciętą na plecach daje się tylko w jedwabnej pikowanej podszewce a wierzch kraje się w jednym ciągu i układa w fałdy podług podszewki. Brzegi przodów schodzą się lecz nie zakładają jedne na drugie, do zapięcia przyszywa się od spodu wązkie listewki z dziurkami i guzikami, które pokrywa 14 c. szerokie obłożenie z piór pluszowych.

N. 37 i ryc. 63 w N-rze 47. Suknia z gładkim spencerowym stanikiem.

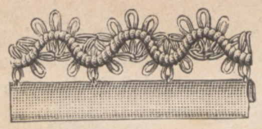
Do spódnicy kaszmirowej w dość dużą kratę, ubranej szerokim plisowaniem, oszytem pluszem, nad którem dana draperya. Stanik spencerkowy, zrobiony był z pluszu. Inną stosowną spódnicę dajemy na ryc. 63 w N-rze 47.


N. 21. Haft turecki do serwety ryc. 20. Patrz ryc. 10 w N-rze 47.


N. 18. Naszycie pletnią do ryc. 29—30. w N. 47.


N. 19. Wyszycie na kołnierzyk stojący do ryc. 33 w N-rze 47.

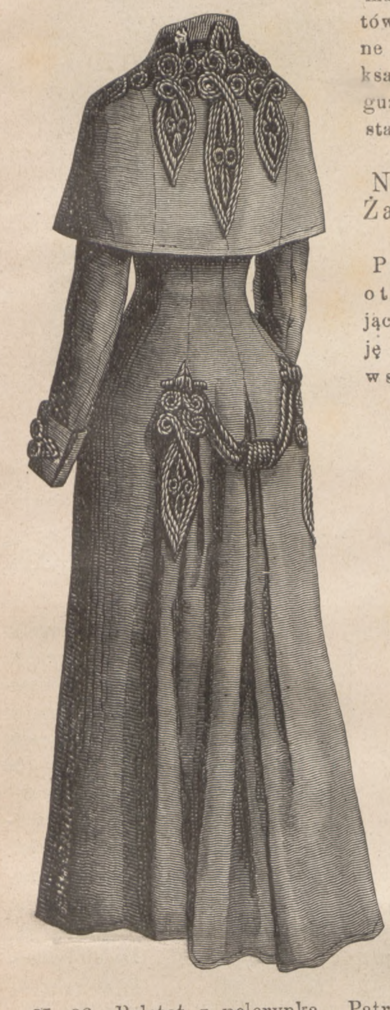
Opis do N. 47.



N. 22. Ząbki z mignardisse.

N. 1. Sukienka bluzkowa, dla dziewczynki lat 7—9.

Uszyta z materyału wełnianego w dużą kolorową kratę, składa się z plisowanej spódniczki przyszytej do spodniego stanika bez rękawów. Zwierzchnia bluzka szeroka, opuszczająca się na spódniczkę jest u dołu nawleczona na elastykę. Kołnierz marynarski i obłożenie mankietów dane z aksamitu; guziczki stalowe.



N. 26. Paletot z pelerynką. Patrz r. 38. Krój i deseń na arkuszu N. III, fig. 10—17.

N. 3. Żabot.

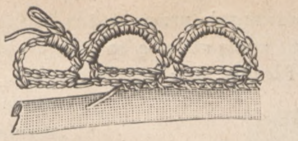
Pasek otaczający szyję jest z wstążki blado-żółtej atłasowej 6 cent. szerokiej; żabot stanowi kawałek deseniowej gazy 58 cent. szerokiej, u dołu ścięty skośnie, z jednego boku 48, z drugiego 32 cent. długi. Koronka saska 16 cent. szeroka, suto namarszczona zakończa brzegi z boku, na pasku dana kokarda.

N. 4—7. Chusteczka tiulowa. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 91.

Fason chusteczki podaliśmy w zmniejszeniu na fig. 91: jest ona z cienkiego tiulu ozdobiona wywodzeniem i haftem aplikowanym. Haft dany naiszerzej na tylnym rogu, z brzegów idzie prosto jak koronka na ryc. 4. Zamiast dotychczas używanych ściegów do haftu na tiulu oddajemy tu wzór kwiatów robionych wypukło (en relief). Ryc. 6 *a* i *b* i 7 wskazują pojedyńcze listeczki róży, w naturalnej wielkości odziergane na muszlinie; w jaki sposób listki przyszywają się na tiulu aby zformować różę, widzimy na ryc. 4. Brzegi chusteczki odziergane w ząbki i oszyte pikotami.



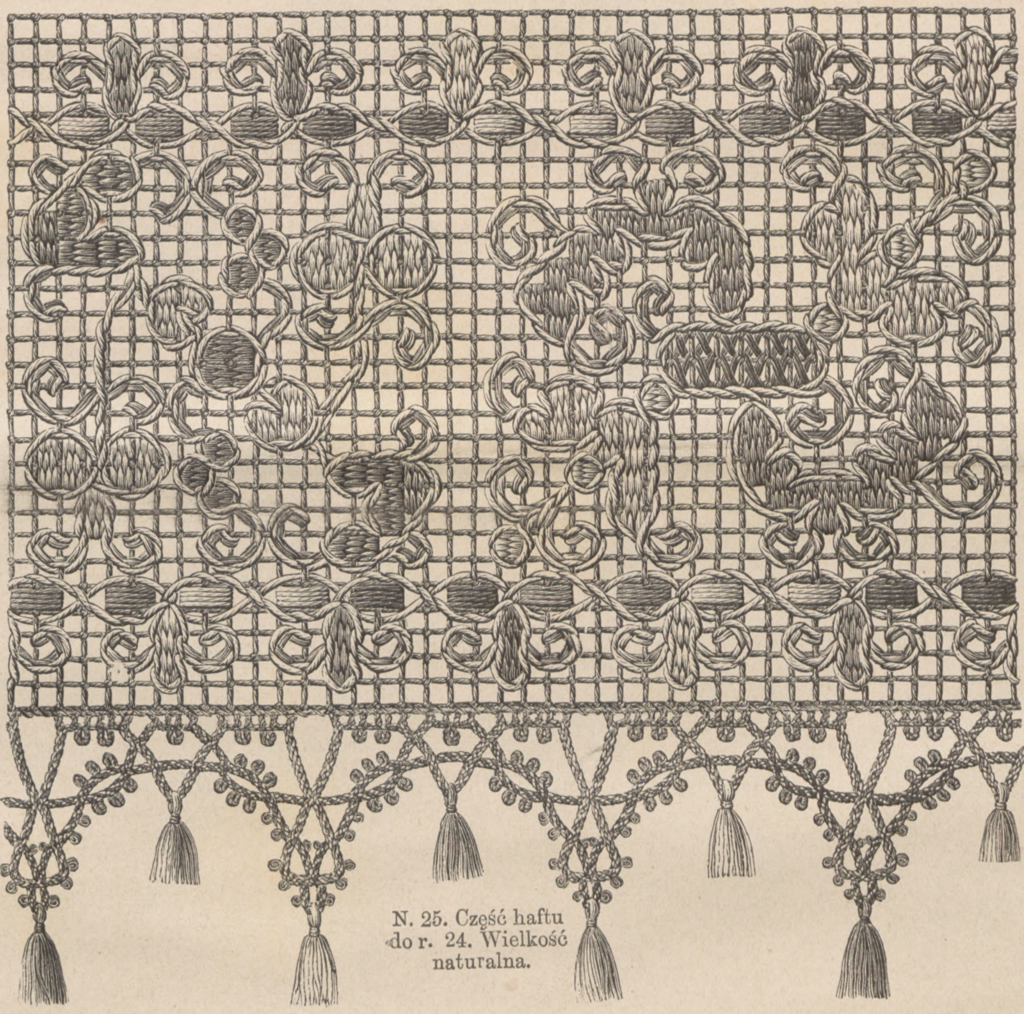
N. 24. Serweta siatkowa z kolorowym haftem. Patrz r. 25.



N. 23. Ząbki szydełkowe.



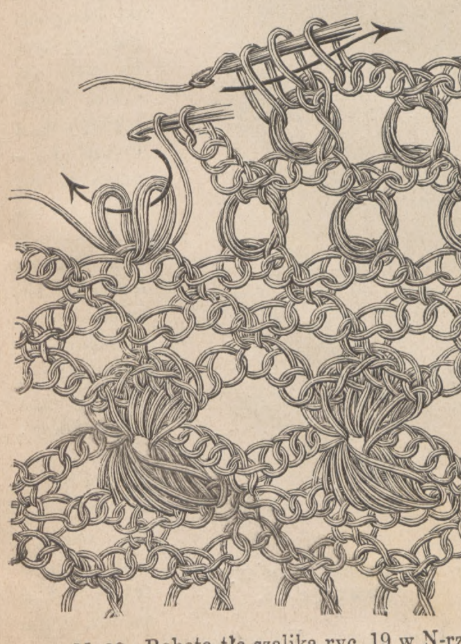
N. 27. Płaszczyk z podpiętym tylnym brytem. Patrz ryc. 1. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 93.



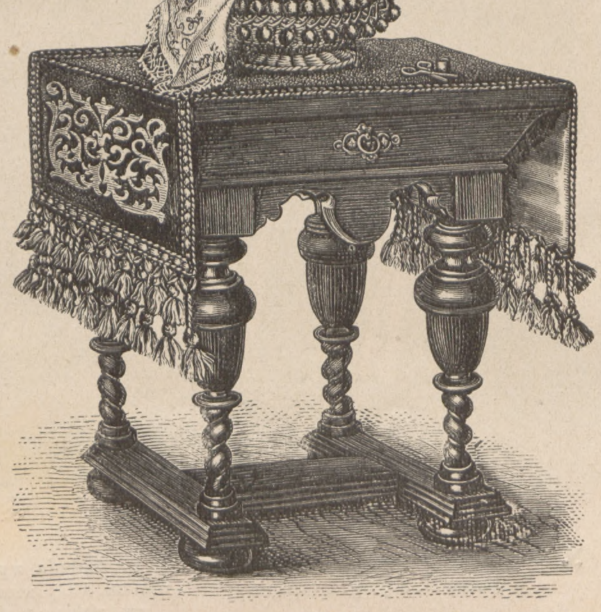
N. 25. Część haftu do r. 24. Wielkość naturalna.

N. 8—9. Poduszka do krzesła. Haft renaissance z przewłóczonemi nitkami.

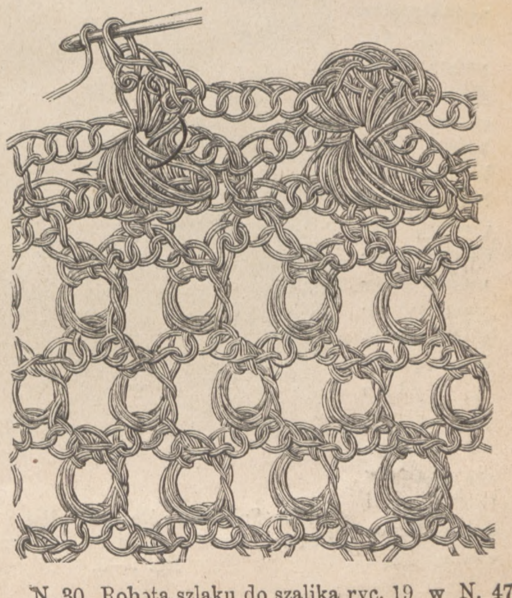
Na ryc. 9 wskazujemy z całą dokładnością sposób wyszycia, w którem odpowiednio do deseniu nitki przeprowadzają się dłużej lub króciej, tło stanowi kanwa równo tkana. Nitki haftu przeprowadzane są tylko wierzchem kanwy i przejmowane drobnym ściegiem za pojedyńcze nitki tła. Przymocowanie długich nitek stanowią poprzeczne rzędy krótkich pół-



N. 29. Robota tła szalika ryc. 19 w N-rze 47.



N. 28. Przykrycie na stół do szycia. Patrz ryc. 11, w N-rze 47.

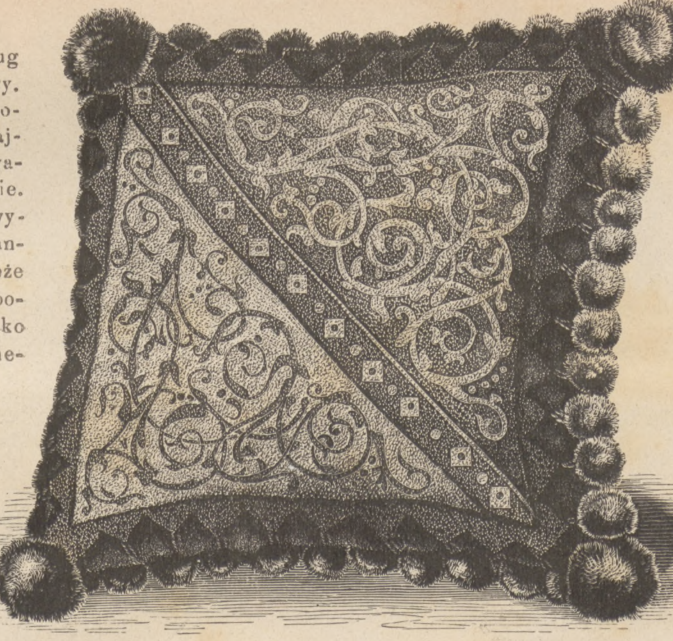


N. 30. Robota szlaku do szalika ryc. 19 w N. 47.

krzyżyków, zajmowanych przez każdą nitkę, podług ryc. 9; rzędy te wyszywane są co cztery nitki kanwy. Do haftu użyta filozela, dzielona po 4 nitki; deseń powinien być najpierw narysowany na kanwie. Taki rodzaj wyszycia na kanwie służyć może nie tylko na poduszki, ale jako pokrycie na meble.



N. 33. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5.



N. 31. Poduszka do kanapy. Deseń zdzierany na safianie. Patrz ryc. 32 i fig. 41.



N. 32. Zdzieranie deseniu naciętego na safianie do ryc. 31.



N. 34. Paletocik dla dziewczynki lat 3—5. Krój i opis na arkuszu N. XIV, fig. 82—85.

N. 19. Szlak na głowę, robiony szydełkiem. Patrz ryc. 29 i 30 w N-rze 46.

Tło i szlak szalika robi się jednakowym sposobem w deseń złożony z dwóch odmiennych pasków przedzielanych dwoma rzędami ząbków z trzech o: powietrznych, przyrabianych 1 o: ścisłem. Robotę zaczyna się wzdłuż od tła środkowego, łańcuszkiem 150 o. długim, pierwszy deseń stanowią dwa rzędy pęczków słupkowych. W rzędzie 1-ym * siedm słupków w siedm o: łańcuszka, złączonych w górze jednem oczkiem, 3 o: powietrzne, 1 o: ścisł. w następne o: łańcuszka, 3 o: pow.; powtarzać od * a zakończyć ten rząd 7 słupkami. W drugim rzędzie 7-em sł. które u dołu biorą się w o: łączące 7 sł. rzędu poprzedzającego a zarazem przejmuje się przez wszystkie słup. sposobem wskazanym strzałką na ryc. 30, potem 5 o: pow. i powtarzać aż do końca. Szalik można robić tam i napowrót, lecz daleko piękniejsza i równiejsza będzie robota w jedną stronę, tylko przy zaczęciu i kończeniu rzędów trzeba nitki dobrze zamocować. Rząd 3 i 4 stanowią ząbki z 3 o: pow. przyrabianych 1 o: ścisłem, po których następuje szlaczek w kółka, złożony z trzech jednakowych rzędów, w których kółka się mijają. Zacząć od 3 o: pow., potem na kółko zarzucić nitkę na szydełko jak do słupków, przeciągnąć długą pentelkę przez środkowe z trzech o: pow: poprzedzającego rzędu, co powtórzyć jeszcze 2 razy. Potem wszystkie pentelki ścisnąć u dołu dwoma palcami lewej ręki i spuścić z szydełka, na którem zatrzymuje się tylko pierwszą zarzuconą nitkę. Tym sposobem powstaną dwa rozdzielone kółka, które trzeba napowrót wziąść na szydełko zajmując najpierw kółko zwierzchnie a następnie spodnie jak to wskazuje strzałka w rzędzie niższym, na r. 29, potem wszystko to wraz z pierwszą zarzuconą na szydełko nitką, razem jednem o: przerobić. Dalej sposobem wskazanym strzałką na rzędzie wyższym, zrobić 1 o: ścisłe w to samo kółko, i wszystkie trzy znajdujące się na szydełku o: jedną pentelką złączyć. Powtarzać od gwiazdki. Obadwa paski deseniu powtarzają się na szerokość szalika 5½ razy a po brzegach z każdej strony daje się dwa rzędy ząbków, a brzegi poprzeczne obrabia się jednym rzędem. Poczem dodaje się szlak robiony w koło zacięty trzema rzędami kółek a zakończony paskiem w deseń ze słupków. Na wszystkich rogach trzeba robić po dwa kółka w jedno oczko. Wykończony szalik trzeba równo rozciągnąć i rozpiąć.

(*D. n.*)



N. 35. Suknia z vêtement. Patrz r. 32 i 64 w N-rze 47. Krój na arkuszu N. 1, fig. 1—5.

N. 36. Płaszczyk jesienny. Krój na arkuszu N. II, fig. 6—9.

N. 37. Suknia z gładkim stanikiem. Odpowiednią spódnicą patrz na r. 63 w N. 47.

N. 38. Paletot z pelerynką. Patrz ryc. 26.



Pl. 521.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.